



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

W schronieniu Św. Władysława,

PRZEZ

Zofię Hartinghową.

W ciepłe, świąteczne popołudnie majowe rozochocony tłum cisnący się w Aleje, niósł mnie i młode towarzyszki moje ku rogatom Belwederskim. Tam swobodniej będzie odechnąć pierś po kurzu miejskim, weselej oczom nacieszyć się słońcem, które ukośne promienie kładło, jak pieczętę, na świeżo skoszone wonne łąki i białe kiście rozkwitających kasztanów. Wszędzie w powietrzu czuć technienie budzącej się wiosny; wszędzie ruch i gorączkowe ożywienie. Kolejka Wilanowska w obleżeniu, a po zapyłonej wstędze gościńca toczą się umajone bryki, snują handlarze, kupczacy obwarzankami i pomarańczami, kataryniarz wygrywający urywki z opery na przewieszanej przez plecy ochryplej katarynce, gromadki swawolącej dziatwy, wreszcie żebracy o kiju, dopraszający się płaczliwie jałmużny. Mijamy parę ogródków, w których kręą się wśród gości dziewczęta w białych fartuchach, roznoszące kufle piwa i porce zsiadłego mleka, i zmęczone ruchem, wrzawą i blaskiem, podążamy dalej. Naraz oczy nasze uderza ładny pałacyk, stojący na uboczu, wśród zieleni, a odgradzony od drogi żelazną kratą.

To Schronienie dla nieuleczalnych pod wezwaniem św. Władysława, patrona fundatora, hr. Czarneckiego, który sam złożony ciężką niemocą, poświęcił mienie swoje ku ulżeniu doli dotkniętych podobnem jemu cierpieniem. A w myśli tej zaczęła wtórować mu synowica jego, panna Marya Czarnecka, dzisiejsza opiekunka Zakładu, która wszystkie skarby serca swego i duszy, wszystkie zasoby niepożytej energii i poświęcenia włożyła w dzieło stryja, i jak cichy anioł opiekuńczy rozciąga skrzydła swoje nad tym przybytkiem cierpienia i niedoli, w progach którego możnaby językiem ludzkim wypisać Dantejskie:

„Lasciate ogni speranza, voi ch' entrate.“

Tak; językiem ludzkim... lecz po nad tym jękiem zwątpienia góruje głos inny, który metalicznym dźwiękiem rozkołysanego dzwonka zdaje się wzywać nas do stóp Tego, który jest nadzieją sprawiedliwych, światłem błądzących w mrokach i życiem rodzącem się ze śmierci, a rozkwitającym w całej pełni tam wysoko, po nad morzem łoż, bólu i rozpacz...

Namawiam towarzyszki moje do wejścia. Dobrze jest, kiedy młodość spojrzy w oczy starości i nędzy, nie dlatego, by one zaćmiły przed nią urok życia, ale aby nauczyły ją patrzeć w przyszłość i promieniami swej wiosny ogrzewać martwość cudzej zimy.

Dzwonimy do furtki i przez zielony ogródek pełen kwiatów i słońca, w którym wygrzewa się sennie na wózkach kilka skulonych, bezwładnych, nawpół obumarłych po-

staci, wchodzimy do kapliczki pełnej chłodu i cienia. Na ołtarzu wśród morza zieleni tonie posąg Matki Boskiej, rozciągającej miłosierne ramiona nad niedolą, rozpustą u Jej stóp. Czerwona, migocąca lampka zwieszona u sufitu, zdaje się żarzyć bólem krwawym serc ludzkich, żebrzących o ratunek, a po nad pochylonemi w pokorze głowami, płyną poważne tony organu i pieśń niesiona ku niebu wonią kadzideł i porywem serc wniebowziętych:

Ucz nas kochać, choć w cierpieniu,
Ucz nas cierpieć, lecz w milczeniu.

A na tę cichą skargę wydartą z uciśnionych piersi, chór odpowiada błagalnem wezwaniem:

Nie opuszczaj nas!... Matko!... nie opuszczaj nas!...

I smutne czoła, opromienione otuchą i wiarą, podnoszą się ku niebu; światła gasną, organy milkną, woń kwiatów i mirry rozplywa się w powietrzu, a skulone postacie o szczudłach wyłaniają się z cieniów i wolnym krokiem opuszczają kaplicę, podążając do swoich cel... Uśmiechnięta, słodka postać Cesi, dozorczyni, zabiega nam drogę.

— Pani Opiekunka jest u siebie na górze i prosi...

Idziemy uściśnąć ręce zaczętej kobiety, która wita nas uprzejmie u progu, nie wypuszczając z dłoni czarnego wachlarza, którym przydaje oddechu swoim ciężko spracowanym pierśmi. Z twarzy jej nie schodzi dobrotliwy, łagodny uśmiech, którym wraz z życli-

wem słowem darzy każdego nieszczęśliwego, oprowadzając nas po obszernych, słonecznych, dobrze przewietrzonych salach swego zakładu. A tak zna na pamięć każdą niedolę, potrzebę, nawet słabość tej nędzy, chroniącej się pod jej opiekuńczym dachem; tak troskliwie umie zarządzać potrzebom ciała, tak gorąco krzepić upadającego ducha, tak umiejętnie nadawać myślom weselszy kierunek! Nie dziw, że smutne oczy idą za nią, jak za promieniem Bożego słońca, że skargi cichną za jej zbliżeniem i ręce garną się do pieszczoty jej dłoni, i że za tą miłą i umiłowaną idzie zawsze cichy, wzruszony szept błogosławieństwa.

— Gdyby pani wiedziała, co to za znakomita gosposia była z tej oto babci! — mówi, przystając przy fotelu sparaliżowanej staruszki. — Nie było równej na całej Litwie; wędliny jej i konfitury pamiętają dotąd.

A na odgłos tych pochwał apatyczna postać ożywia się i uśmiech zadowolonej miłości własnej przemyka po martwej twarzy.

— Nie wyobraża sobie pani, jaki to wykwintny salonowiec był z pana D.! — opowiada, zatrzymując się przy staremu o wyniosłej postawie i obliczu, noszącym jeszcze ślady dawnej, męskiej urody. — Niejedno serce podbił, a gościnność jego i dowcip znane były w całym Krakowskim.

A paralytyk na wspomnienie dawnych sukcesów światowych prostuje się, rumieni, poprawia fałdów wytartego szlafroka i usiłuje z dawną junacką fantazją podkręcić siwego wąsa.

Zbliżamy się do istoty zatrzymanej w zaczątkach umysłowego rozwoju, dwudziestoltniej dziewczyny z przerosniętą głową, tulącej do piersi z uśmiechem macierzyńskiej czułości lalkę, strojną w jaskrawe gałganki.

Opodal widzimy gromadkę dzieci i wyrostków, z których każdy dotknięty potwornym jakimś kalectwem; umysły to zwyrodniałe, ciała bezkształtne, duchy nierozbudzone...

A po nad tym światem niedoli unosi się Boży duch pokoju i miłosierdzia, który ten przytułek cierpień zmienia na przedsionek raj, i wciska się do głębi serc, przetrawiając ich gorycz, i przed zapłakane oczy nasuwa niebiańskie widzenia, i jęki bólu przygłusza brzmieniem harf, rozśpiewanych gdzieś przed tronem Bożym...

Podchodzimy do osłoniętego białą firanką łóżka, na którym spoczywa kobieta średnich lat, w pełni pozornego zdrowia, wpinająca mozolnie igłę w zaczętą robotę, ręką nawpół obezwładnioną.

— Pani dawno już tu leży?

— Dwanaście lat — brzmi swobodna, niemal wesoła odpowiedź.

— A czy bardzo się pani życie przykrzy i czas dłuży?

— Mnie?... o, bynajmniej... — odpowiada zdziwiona. — Bóg taki miłosierny, ludzie tacy dobrzy... Nie mam nikogo na świecie, a tu znalazłam rodzinę.

— A kiedy pani widzisz ludzi w pełni sił i zdrowia?...

— To im nie zazdroszczę. Każdy na tym świecie cierpieć musi; jeden moralnie, drugi fizycznie, a kto wie, czyj krzyż cięższy.

— A kiedy pani cierpisz, to co?...

— Wpatruję się w ten oto wizerunek Chrystusa i proszę Go, aby mnie ustrzegł od szemrania przeciw woli Bożej.

— A z nadzieją nie trudnoż się pani było rozstać?

Uśmiechnęła się łagodnie, jakby z rodzajem politowania.

— Nadzieja ziemską... a cóż ona daje? Zawody i gorycz rozczarowania. My odcięci kalectwem naszym od świata, sięgamy wyżej myślą. Nadzieję naszą pokładamy w Bogu, a Ten nie zawodzi nigdy.

I żegna nas uprzejmie, a my za przewodniczką naszą przechodzimy do nowo zbudowanego skrzydła gmachu, gdzie mieszczą się względnie zamożniejsi chorzy, którzy pozbawieni rodziny i opieki, za małą opłatą znajdują tu ciszę i spokój, opiekę lekarską i bezprzykładną troskliwość. Otwierają przed nami szereg pokoiów jasnych, słonecznych, umeblowanych snąc zabytkami dawnej zamożności, a stanowiących nieraz drogą pamiątkę dni minionych niepowrotnie.

Oto przed staroswiecką, mahoniową gotowanąią siedzi zdzienniała, ośmdziesięcioletnia, siwa, jak gołąb, zawsze milcząca, uśmiechnięta staruszka, zapatrzona w lustro, które kiedyś może odbijało promienną jej młodość w pełnym rozkwicie. Czego w niem szuka? czego dopatruje? Czy śladów minionej urody?... czy złotego połysku, tych włosów, srebrzących się dziś nad pomarszczoną skronią? czy młodzieńczego blasku oczu?... A może cały długi szereg dni minionych, dni szczęścia i wesela przesuwają się przed zamgłonym spojrzeniem przygasłych źrenic, błędnie zapatrzonych w przyszłość. Tajemnicę swą chowa dla siebie... milczy i patrzy... i uśmiecha się słodko do jakichś świetlanych widziadeł, przesłaniających jej smutną rzeczywistość obecnej chwili... i patrzeć, i uśmiechać się będzie, aż pewnego ranka przyjdzie śmierć dobrotniwa i zamknie jej łagodnie oczy na krótki, uludny sen życia.

Wchodzimy do pokoju, w którym siedzi w fotelu poważna, sędziwa matrona, ubrana bardzo starannie, z wypielegnowanymi dłońmi, splecionymi na kolanach, z oczyma zapatrzonymi w portret, zawieszony na ścianie. Wymieniamy jej nasze nazwiska, przepraszając, za przerywamy samotność, a ona utkwivszy wzrok w towarzysze swojej, mówi wzruszonym głosem: „Pani jesteś podobną do mojej córki.“

I drżącą dłonią wodzi pieszczotliwie po włosach dziewczęcia, dotyka rumianych jej lic, a pierś podnosi się ciężkim westchnieniem i oczy zapatrzone gdzieś w głąb ducha, zachodzą łzami.

— Pani córka zamężna?

— Moja córka od lat trzydziestu w grobie — odpowiada cicho, i ręką wskazuje portret ośmnastoletniej dziewczyny o zciągłej, szlachetnej, przedziwnie pięknej twarzy.

A my pytamy siebie w duchu, ze ściśniętem sercem, czy podobna, aby to czoło jasne, pogodne, zamroczył Anioł śmierci, aby na tych karminowych, rozkosznie rozchylonych ustach, położył zimną pieczęć wieczystego milczenia i przygasił blask tych oczu, tak wesoło, ufnie patrzących w przyszłość?

— Była całym szczęściem mojem, światłem radością... — żali się cicho matka. — Rozwijając się, jak róża w słońcu, pociągając wszystkie oczy i serca ku sobie. Miała stanąć u ołtarza z wybranym swoim, kiedy przyszła śmierć i zabrała nam ją... Lekkie przeziębienie, kaszel zrazu nawet nie zatrważający, potem omdlałość jakaś, wyczerpanie wszystkich sił żywotnych... I wiedła nam w rękach, gasła, uśmiechając się wciąż do życia i do szczęścia, i nie zatrzymała jej ostatnich chwil łzy i rozpacz nasza, bo matka i narzeczoną mieli siłę do ostatka uśmiechać się w jej gasnące oczy... i śmierć wzięła ją z objęć naszych lekko, bez wstrząśnięć, utuloną do snu wiecznego kołysanką miłości i nadziei. W ślubnej sukience, ze ślubnym wiankiem na zimnej skroni, złożyłam ją wśród kwiatów na śmiertelnym posłaniu. I zostałam sama na świecie... wobec grobu. Kwiaty powiedły... narzeczoną zapomniał... ja tylko jedna ból mój niosę przez życie. Zrazu szalałam z rozpacz, bluźniąc w zapamiętałości mojej Bogu i ludziom... chciałam rozerwać grób, aby wydrzeć mu jego ofiarę... ale nad nim stanął krzyż i powoli, powoli... ramiona moje obwisłe podniosły się ku niemu i oczy śladem mego anioła pobiegły do nieba. I stopniowo ciche jakieś ukojenie spłynęło tam z góry do mojej duszy. Żyję nadzieją śmierci i wieczystego połączenia z moim dzieckiem. Im bardziej wzrok tracę, tem wyraźniej widzę ją przed sobą, jakąś jasną, promienną, wyciągającą do mnie obie ręce wpoprzek grobu. I idę śmiało ku niej, bez lęku... i mówię sobie, że może dobrze Bóg zrobił, zabierając ją w kwiecie wieku z tego padole łez i płaczu... dobrze i miłosiernie... Niezbadane są Jego wyroki. Niech święta wola Jego będzie błogosławioną!

Wychodzimy na kurytarz, gdzie spotykamy spieszącą do zajęć swoich pannę Felicję Piotrowską, w której czynnych rękach spoczywa zarząd całego domu. Ona to dozoruje potrzeby chorych i pod jej kierunkiem kształcą się dozorcynie. Szlachetna postać, czarno odziana, w białym rurkowanym czepeczku na gładko zaczesanych włosach, wita nas z uprzejmym uśmiechem, bo w tym domu Bożym i ludzie, i kwiaty, i łzy, i tęsknota, i miłosierdzie, i śmierć sama, wszystko zdaje się pogodnie uśmiechać.

Prowadzi nas do sali, zastawionej szeregiem białych zasłanych żelaznych łóżek, gdzie na czystej jak śnieg pościeli spoczywają chore. W głębi, pod oknem, dogorywa powoli kobieta w sile wieku. Pierś podnosi się ciężkim oddechem, na bladym czole perli się zimny pot, wyraz bezmiernego cierpienia i spokoju rozlany na twarzy. Oczy smętnie zadumane wybiegają przez otwarte okno na pola, łąki i okwiecone drzewa, które aromatyczny powiew wiosny, gwar podmiejskiego życia i wesołe tony orkiestry, grającej w pobliskiej Promenadzie, wnoszą do cichego przybytku, w którym słychać już jakby szelest skrzydeł nadlatującego Anioła wyzwolenia. To nauczycielka pozbawiona wszelkich rodzinnych związków, której życie zeszło na tułactwie po obcych domach, na garnięciu się do obcych, zimnych serc, która ile razy przywarła gdzieś duszą, odrywać ją musiała, aby iść dalej w świat... za chlebem... a dziś samotna, za-

pomniana, nie potrzebna nikomu, schodzi ze świata cicho i bez śladu.

— Żal ci życia? — pytam, tuląc jej bezwładne ręce, które niegdyś, za lat młodych, ścisnęłam w przyjaźni.

— Nie, — odpowiada bez wahania.

— Ale gdyby ci je zwrócono w pełni sił i fizycznego zdrowia?

— Nie wzięłabym go.

Wszędzie ta pogarda życia i jego znikomości... wszędzie duch górujący nad ciałem i rozwijający swobodnie skrzydła do lotu.

Zatrzymujemy się pobieżnie w pokoju, gdzie zebrani dokoła stołu mężczyźni, obok blisko stuletniego, ociemniałego starca, przeglądają gazety, rozprawiając nad wojną Transwalską; inni znów wsparci o okno, przyglądają się wiosnie, która kwitnie, pachnie, zieleni się... dla drugich, i stajemy nad łóżkiem sędziwej staruszki, której przeźroczysta niemal twarz, okolona srebrem wymykających się z pod białego czepka włosów, zaledwie odcina się od bieli poduszek.

— Pani S... — przedstawia nam Opiekunka.

— Słyszałaś kiedy o rodzinie S.? — pyta staruszka, ożywiając się nagle, a na zapewnienie moje, że nieraz znane to nazwisko obilo się o moje uszy, i że wiem nawet, iż połączyła się z niem córka magnackiego rodu, mówi z odcieniem dumy:

— Tak; nie ze śmieci pochodzę... ale do śmieci idę — dodaje gorzko. — Ojciec mój miał cztery tysiące dziesiątyn ziemi na Podolu. Wychowaną byłam w zbytku... miałam lokai, stangretów, panny służące, a dziś dogorywam na szpitalnym łóżu. Śmierć wzięła ukochanych, starość i choroba wysały krew i siły. Został tylko trup, w którym kołaczą się resztki życia. Patrzysz na mnie z politowaniem, śliczna panienko? — dodaje, zwracając się do Pauli N., stojącej na uboczu z oczyma leż pełnymi. — I ja kiedyś byłam młodą i piękną, jak ty... a dziś, patrz, co z tego zostało? Bacz, abyś nie zmarnowała młodości twojej i umiała przywiązać do siebie choć jedno serce, któreby ci wierne pozostało do grobu. Mam ci wprawdzie i ja syna, ale żona, dzieci, obowiązki, odrywają go odemnie. Trudno, taki los matek. Dziś jestem mu tylko ciężarem... Życie już mi nie dać, nie odjąć nie może. Więc też czekam śmierci, jak wyzwolenia bom już dawno umarła dla świata.

Chyląc głowę przed majestatem cierpienia i śmierci, wypisanej już na tem bladym czole, przyklekam u łóża staruszki, a ona unosi się na posłaniu, z oczyma, w których rozbłysła nagle cała moc skoncentrowanego życia, i głosem dziwnie silnym, przejmującym, jakby proroczym, mówi, kreśląc dłonią wielki znak krzyża w powietrzu nad moją pochyłoną głową:

— Za to, żeś litościwa i współczująca dla starości i nędzy, — ja z nad grobu błogosławie ciebie w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, i wzywam miłosierdzia Bożego nad tobą, abyś nie żyła długo!...

Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Powierzchniowość jego nosiła rodzime piętno rasy: rysy miał grube, ruchy trochę ciężkie, zresztą niebrzydki był i robił wrażenie świeżego, pulchnego, przyrumienionego pieczywa. Jego flegmatyczne, dobrze zrównoważone usposobienie nie przedstawiało żadnych cech wybitnych, oprócz skrytej próżności dorobkiewicza, pchającej go między ludzi wyższej sfery.

W sferze tej przyjmowano go z odcieniem protekcyjnym, ale dość uprzejmie, zapraszano na zebrania, nawet czasem oddawano mu króciółką wizytę kawalerską — i na tem się kończyło, — ale on marzył o czemś więcej: pragnął zostać rzeczywistym członkiem tej sfery przez ożenienie się. Dotąd jednak było to tylko snem nieziszczonym, bo jego parę kroci opłacało wprawdzie pasport wejścia do towarzystwa, ale nie starczyło jeszcze na opłacenie metryki ślubnej.

W sąsiednim Obrywinie bywał częstym gościem. Nie odważyłby się wprawdzie konkurować o Mewę, ale pochlebiało mu, gdy go posadzano o kochanie się w takiej pannie; a przytem panna bardzo mu się podobała, zwłaszcza wtedy, gdy jej przychodziła fantazja i jego trochę pobałamucić, dla zabicia jakkolwiek obrywińskich nudów.

Na tenisowym placu Fryd Grüber nie wydawał się wcale korzystnie. Rozcierwieniony i spocony, sam się męczył i partnerce zaważał, więc w połowie partii Zygmunt ofiarował się go zastąpić. Teraz partję składały doborowe siły, i pani Wszelaczyńska, miarkując, że jej panienki długo pozostaną przy grze, rzekła do siedzącego towarzystwa:

— Czy nie znajdujecie państwo, że przyjemnie byłoby pospacerować trochę w pobliżu placu tenisowego?

— Ależ i owszem! i nietylko w pobliżu! — zawołała Mewa. — Powrastamy w ziemię, siedząc tak na jednym miejscu!

Ruszone się z pod lip, pani Wszelaczyńska w asystencji pani Rejskiej zaczęła krażyć zwolna i pompatycznie, drożyną plac okalającą, pani Mimi przypomniała sobie, że nie widziała jeszcze jakiejś nowo zaszczonej róży, i poprowadziła troszkę ociągającego się Wieloleckiego w gratową aleję, a Mewa rzekła do Jura i Fryda:

— Chodźmy odwiedzić moje łabędzie! już od kilku dni nie byłam koło basenu.

Przy końcu ogrodu, wśród cienistych kłębów, rozrzuconych po strzyżonym trawniku, na małej, czystej szybce wody, obrzeżonej kamiennymi płytami, pływały dwa łabędzie.

Mewa zawołała na nie; na głos jej zbliżyły się, i zatrzymały u brzegu, wyginając smukłe szyje, a ona wtedy załamała ręce.

— Ach, mój Boże! — zawołała, — zapomniałam przynieść dla nich piernika! Cóż one sobie teraz o mnie pomyślały?

— Tak pani idzie o ich opinię? — zapytał Fryd.

— Idzie mi o ich przywiązanie, — odparła.

— Kupione za pierniki! — wtrącił Jur.

— Nie za pierniki — rzekła, — lecz za dowody panie Fryderyku!

— Co pani rozkaże? — spytał skwapliwie, patrząc na nią sentymentalnie błękitnymi oczyma, odziedziczonymi po matce, płowowłosej Grecie.

— Moje łabędzie kochać mię przestaną, jeśli się przekonają, że nie im nie przyniosłam!

— Cóż ja na to poradzę? chyba krwią moją dla nich służyć pani będę? — odrzekł, widocznie zadowolony z tak rycerskiego zwrotu.

— Moje łabędzie nie piłyby tego — odparła, krzywiąc się zlekka, — ale piernik przyjmą z wdzięcznością. Idź pan do szafarki, niech mi przysze pierników!

— Sam przyniosę, jeżeli pani rozkaże!

— Dobrze. A gdybyś pan, powróciwszy, nie zastał mię na tej nadbrzeżnej skale, to powiesz pan sobie, że poszłam zwiedzić kryształowy pałac sióstr moich — wodnych syren, i nakarmisz pan za mnie łabędzie.

— W takim razie za fatygę nie dostanie mi się nawet wdzięczny uśmiech?

— Za fatygę pozwolę panu zabawić się w Lohengrina i przejechać się konno na łabędziu po basenie. Idź — że pan prędzej!

Fryd na razie nie znalazł jakoś odpowiedzi, tylko uklonił się i odbiegł ciężkim truchtem, a Mewa rzekła do Jura:

— Nudzi mię dziś szalenie ten ekstrakt piwa i kartofli! Uciekajmy, nim wróci!

— Czy do kryształowego pałacu? — zapytał z uśmiechem.

Przechyliła głowę, zmrużyła oczy i rzekła z cicha:

— Poszedłby pan tam ze mną?...

— Czyżbym się bał wody, skoro się ognia nie boję?

Spojrzał w jej błyszczące oczy, ona się rozkosznie uśmiechnęła.

— Tymczasem — rzekła, — pójdziemy tylko do japońskiego kiosku, żeby przypatrywać się z ukrycia, jak Lohengrin będzie paś łabędzie.

Japoński kiosk stał opodal od basenu, w klomb kędzierzawych tamaryszków wsunięty, sklecony z ażurowych deseczek, gęsto oplecionych kwitnącą glocynią. Uniósłszy zawieszającą wniście kotarę zieleni, Mewa weszła do środka, usiadła na niskiej ławeczce — i wskazała Jurowi miejsce obok siebie.

— Jakże tu miło! — rzekła, obejmując wzrokiem zieloną kryjówkę, pełną świeżości i cienia; właśnie niby w kryształowym pałacu: chłodno — cicho — spokojnie — jak na dnie wielkiej wody...

— Chłodno i spokojnie?... — zapytał, myśląc, że taka samotność ze śliczną, wyzywającą dziewczyną, nie należy do rzeczy chłodzących i kojących.

Odgadła myśl jego, i w odpowiedzi rzuciła mu wzrokiem wiązkę palących iskier elektrycznych, a potem oczy jej zamglily się rozmarzeniem, i mówiła zwolna, półgłosem:

— Słysząc szept każdego listka... Jak to miło, kiedy taka chwila kojącej ciszy znajdzie się nagle wpośród bezmyślnego gwaru, w którym tyle hałasu o nic...



— Dlaczegoż pani ten gwar bezmyślny zgromadza wkoło siebie?

— Dlaczego?... dlatego, że pospolitemi trunksami odurzać się nie wypada...

— Po cóż się odurzać? czyż może tego potrzebować istota szczęśliwa?

— Co pan nazywa szczęściem?

— W tym wypadku i względnie do pani nazywam szczęśliwem położenie światowej panienki, która ma wszystko, co świat może dać—i w dodatku wychodzi za mąż z miłości.

— Światowe panienki nie wychodzą za mąż, tylko są wydawane. Czasem wydają je ludzie, czasem okoliczności — ale skutek ten sam...

Zerwała gałązkę glocynii, i oskubując ją nerwowo, nuciła półgłosem starą barkarolę:

«Ach! bez miłości płynąć na morze,
Choć z samym dożę pocieszyć nie może...»

— Jeżeli tak, to nie płynąć! — zawołał.

— Łatwo to mówić temu — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem,— kto sam trzyma w rękę ster swojej barki...

Przez chwilę zaległo milczenie, potem Mewa mówiła znów znużonym, głębokim głosem:

— Doznaję takiego wrażenia, jak gdybym wybierała się w podróż na Ocean Spokojny, wiedząc, że mię tam spotka owa martwa cisha, co to trzyma żeglarza nieruchomie za-

wieszzonego nad morską głębiną—i wśród wody morzy go pragnieniem...

Jur patrzył na nią ze współczuciem, ale milczał. Bo i cóż mógłby na to powiedzieć?

Ona zaczęła znów:

— W takiej żegludze jedyną pociechą — obecność miłych, poczciwych towarzyszy podróży... Panie Jerzy! gdy odbiję od Obrzywińskiego brzegu, aby osiąść na Nabrzeżańskiej mieliźnie—pan pozostanie i wtedy moim przyjacielem — wszak prawda?

— Jeżeliby pani mojej przyjaźni potrzebowała...

— Ależ naturalnie, że będę potrzebowała! Pan wie, jak jestem źle zrozumianą, a ja teraz wiem, że tak już będzie zawsze... Ale za to pan mnie tak dobrze rozumie, a ja mam dla pana zaufanie prawdziwie siostrzane...

Wyciągnęła do niego rękę, którą on ucałował, a wtedy ona popatrzyła na niego tak, jak siostry nie patrzą na braci,—i przysunawszy się do jego ramienia, dawała mu dowody owego zaufania, opowiadając głosem przyciszonym, z melancholijnie pochyloną główką, o smutkach i zawodach swego osamotnionego serduszka.

A w tym samym czasie Fryd Grüber karmił piernikami łabędzie, i powoli a systema-

tycznie zastanawiał się nad tem, gdzieby się Mewa podziąć mogła?

Rzuciwszy na wodę ostatni kawałek piernika, według porządnie ułożonego planu, wybrał się na poszukiwania. Zajrzał najpierw do jednego i drugiego z pobliskich klombów, potem popatrzył w stronę japońskiego kiosku, znowu coś flegmatycznie kombinował, wreszcie drogą indukcyjną doszedł do logicznego wniosku, który chcąc stwierdzić na drodze doświadczalnej, okrążył kiosk po za klombami, i z przeciwnej strony cicho, jak duży kot, przybliżył się do zbitej masy glocynii. Postąpił tam chwilę, nasłuchując i zaglądając ostrożnie po przez zielone sploty, poczem oddalił się bez szmeru, i spokojnie, miarowym krokiem poszedł w stronę tenisowego placu. Usiadłszy na ławeczce pod lipami, czekał z niezmaconą cierpliwością końca partyi, a czekając, rozmyślał:

— Dopóki nie pojawił się ten paryzki gagatek, Fryd był dobry do zapełniania antraków; a teraz Fryd niech sobie idzie jeździć na łabędzie, bo ona woli ze świeżym partnerem zagrać w écarté. Ale Fryd nie idyota, panna dostanie taką nauczkę, że nie zechce jej się drugi raz posyłać Fryda po pierniki!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DEOTYMA.

—•••—

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

—•••—

(Ciąg dalszy).

Most się opuścił na fosse forteczną,
Gdzie Dunaj wsącza wpół wyschnięte nurty.
Wchodzą w ciasnotę Wycieczkowej Furty.
Huk rozmów zabrzmiał, bo tu już bezpiecznie.
Brama za bramą — ślepy gmach za gmachem —
Aż się wyleli na plac przed Odwachem.
Nim uroczyste wyruszą ku miastu,
Wachmistrz wystąpił, i rachuje głowy.
Dwustu ich wyszło, brakuje czterestu.
Piętnastu! Gdzie «Król Majowy?»

Na te wyrazy, niewiasta z pośpiechem
Rozdarła szatę — spadły prześcieradła —
Z twarzy podwójna obwiązka opadła —
I tłum wybuchnął niehamownym śmiechem.
Turczynka, Niemka, zniknęły już obie....
To Frantz wysmukły, we własnej osobie!
— «Co? Zkąd? Jak?» — Tysiąc zapytań się ściera.
— «Zadość uczynię ciekawości waszej.
«Przygoda moja, godna ust Homera:
«Jam widział Greczynkę Baszy!»

— «Tyś widział? Jakim cudownym przypadkiem?
«Ba! Do haremów nikt się nie dostanie!»
— «Co, nie wierzycie? Nasz Bedel mi świadkiem.»
Lecz Wachmistrz mówi: — «E, próżne gadanie.
«Nasz Bedel właśnie jest z owiej czternastki,
«Co zaginęła. Wpadł stary do pastki.
«Może nam jeszcze wróci się raz drugi,
«Ale twój dowód jest bakiem postrzelon.»
A Frantz: «Mam lepszy, niż świadectwo sługi.
«Patrzcie, mam własny jój welon!»

Sięgnął w zanadrze,— z rąk Hansa wziął lancę,
Szał na nią zatknął, i podniósł nad głową.
W téj chwili słońce wschodzące różowo,
Zagrało blaskiem na błękitnej tkance,
I gdy po gwiazdach rozprysło się żarem,
Chłopcy krzyknęli: «Żyć pod tym sztandarem!»
A Frantz przemawiał: — «Niechże Bóg obroni
«Bedela! On to, choć w noc taką ciemną,
«Z potyczki wywiódł mnie i rzekł: — Pójdź ze mną,
«Ja do Murzyna, ty do Niéj.

«On to roztropnie doszukał się drogi.
 «Po szmatach płócien, po-przez sznurów krocie,
 «Pełzliśmy w cieniach, kryli się za stogi.
 «Nakoniec szepnął: — To tu, w tym namiocie.—
 «Podchodzę, patrzę: świątynia z bławatu,
 «Zamknięta szczelnie, jak pąkowie kwiatu.
 «Lecz ufna młodość, częgóż nie dokona?
 «Przeciałem ściany! Wchodzę..... Objawienie!
 «W puszystém gniazdku spoczywa... Marzona!
 «Równa Trojańskiej Helenie!

«Aż ktoś odchylił firankę tajemną;
 «Przybiegła do nas niewolnica stara;
 «Wątle to było stworzenie, mdła mara,
 «Lecz strach o panią, czy litość nademną.
 «Taki jój nagle nadały ruch krzepki,
 «Że mię wepchnęła do jakiegś izdebki.
 «Tam, spowijała w owe prześcieradła,
 «Uczyła drogi, co mię ubezpieczy,
 «I tyle w uszy słówek mi nakładła,
 «Żem się dowiedział stu rzeczy.

«Ach nie, to mało! Pomroka zaranna,
 «Coraz ją w nowe stroiła postacie.
 «Raz mi łysnęła na futrzanym płacie,
 «Jak na panterze jadąca Arjanna.
 «Kiedy w jój oczach zobaczyłem ciche
 «Dwie łzy, to była ta żałosna Psyche,
 «Którój uroku bogowie nie uszli.
 «A znów gdy światło ją znów prześrebrzało,
 «To Amfitryta! Nie, wszystko za mało.
 «To Venus w perłowej muszli!

«Że ona Niemka — Kätchen się nazywa —
 «Wzięta pod Rossau — że Zoe jej pani,
 «Owa cudowna Greczynka, jest dla niej
 «Dobra, jak anioł — ach i nieszczęśliwa —
 «I po Niemiecku wyucza się od niej,
 «By o swych troskach rozmawiać swobodnie.
 «— Ale tymczasem słyszymy oboje,
 «Że już w namiocie ktoś ostro się szasta.
 «Chwyta za dzbanek ta dzielna niewiasta.
 «— Bierz to — powiada — jak swoje.

«Ach czemuż wizja była tak nietrwała?
 «Zaledwie ukląkł i dotknął jój szalu,
 «Zaledwie słodkiem spojrzeniem znać dała,
 «Że za tę śmiałość niema do mnie żalu,
 «Gdy powstał rozruch, szcęk, i krzyk żołnierzy.
 «Wtedy..... Cóż powiem? Kto z was mi uwierzy?
 «Posąg przemówił! I jakimi słowy?
 «W naszym języku! — Ach ujdź! — Rzekła do mnie.
 «Jam się nie ruszał — jam stał nieprzytomnie —
 «Zginać u stóp jój gotowy.

«Właśnie już miałam wychodzić, i mleko
 «Nieść dla żołnierzy, co siedzą w przykopie.
 «Ty pójdziesz za mnie. Uciekaj daleko!
 «A ja tymczasem strażników tu ztropię.
 «Oto masz wyjście.— I stałem już za niem,
 «Gdy jeszcze w prógu dodała z wahaniem:
 «— Idź, ale powróć, i wybaw nas obie,
 «Bo my tu straszną znosimy niedolę.
 «— Ja rzekłem: — Wróć! — I przysiągłem sobie,
 «Że moją Venus wyzwolę!»

(Dokończenie nastąpi).

Zbytek, jego złe i dobre strony.

Zbytek jest grzesznym, zgubnym i godnym pogardy, — mówi zasada surowych obyczajów; zbytek niszczy dobrobyt, — powiada oszczędny gospodarz; zbytek ożywia przemysł i handel, powiększa bogactwo kraju i dlatego winien być uwzględniony, — dowodzi pewien dział ekonomii społecznej. Każde z powyższych zdań, aczkolwiek tak różnie brzmiących między sobą, posiada racjonalną podstawę, — chodzi tylko o to, z jakiego punktu widzenia zapatrywać się na nie będziemy.

Co właściwie rozumiemy pod nazwą zbytku? Określając nazwę tę najkrótszemi i najbardziej radykalnemi słowy, powiedzieć możemy, iż obejmuje ona wszystko, co człowiekowi do utrzymania życia i zdrowia nie jest niezbędnie potrzebne.

Rzeczy istotnie dla człowieka nieodzownych, może być stosunkowo bardzo mało. Nie do-

chodząc w tym względzie do krańcowości Dyogenesa, przyznać musimy, iż dla utrzymania życia i zdrowia wystarczyłoby nam pomieszczenie, pozbawione wszelakich ozdób, jak najprostsze sprzęty i naczynia, oraz odzież, nie mająca nic wspólnego z modą, ani z zastosowaniem doskonałych, kosztownych i pięknych obecnych materiałów.

Człowiek atoli, choćby i bardzo skromnej kultury, nie może poprzestać na podobnie surowych warunkach bytu. W naturze ludzkiej, przez wieki całe, nadto głęboko zakorzeniło się poczucie ładu, ozdoby i piękna, z poczucia owego wypływało nieustające pragnienie uprzyjemniania i upiększania otoczenia, to zaś pragnienie zamieniło się znów w potrzebę tak dalece prawdziwą i głęboko odczułą, że często, zaspokojenia onej bynajmniej zbytkiem nazwać się nie godzi.

Do wypowiedzianego zatem na wstępie zdania, dodajmy komentarz, iż pomiędzy potrzebą konieczną a potrzebą naszych upodobań (w dostępnym dla nas zakresie), wielka jeszcze zachodzi różnica. Przyznajmy nazwie „potrzeba“ szersze prawo bytu, — ograniczmy pojęcie „zbytku“, a wtedy łatwiej przyjdzie między jedną a drugim oznaczyć pewną granicę.

Zanim z pierwotnego, społecznego ustroju wyrosło społeczeństwo dzisiejszej cywilizacji, różnica pomiędzy bogaczem a nędzarzem występowała o wiele jeszcze jaskrawiej, ponieważ nie była wypełniona stanami pośrednimi. Późniejszy ustrój, środki, jakimi stan mieszczański rozporządza, ogólne wykształcenie klas średnich, tworzenie się coraz nowych zajęć, które znów rozmaite urabiają stanowiska, z tego wszystkiego wypływa, że „potrzeby“ i „zbytek“ stały się też nadzwyczaj róż-

znolitemi. To, co dla jednego, zważywszy na jego stosunki, stanowisko i środki, przedstawia istotną potrzebą, dla drugiego niezaprzeczonym jest zbytkiem. Zatem pojęcie zbytku jest zupełnie względne. Jeśli pozwalamy sobie na upiększanie naszego otoczenia i uprzyjemnianie życia, w granicach dostępnych naszym środkom i stanowisku, nie nazywamy tego zbytkiem, albowiem czynimy to bez wysiłku i ważniejsze potrzeby naszego bytu nie ponoszą uszczerbku. Często jednak, niestety, dzieje się też inaczej. Ileż to razy trwonimy nieopatrnie znaczną część bardzo średnich, albo nawet szczupłych dochodów na niepotrzebne, zbyt kosztowne dla nas blachostki; ileż to razy, dla jednej chwili, narażamy się na znoszenie przez tygodnie całe, braku rzeczy najkonieczniejszych, a czynimy to przez karygodną lekkomyślność albo przez fałszywe zrozumienie naszej godności...

Przykłady nieopatrznego i lekkomyślnego zbytku znaleźć można w każdej społecznej warstwie.

Zbytku dopuszcza się żebrak, wydający na przysmaki uciulane z jałmużny grosze; zbytek zarzucić można średnio-zamożnej kobiecie, która przyswaja sobie kosztowne kaprysy mody, nie zważając, że inne, ważniejsze domu jej potrzeby szwankują przez to srodze; karygodnym jest zbytek wytwornego pana, pragnącego świat zadziwić wyrzucaniami przez siebie sumami, a nie mającego czem spłacać najbardziej naglających długów. Utarte przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą” — zastosowane do powierzchownego blichtru, nie ma wcale racji bytu.

Pojęcie potrzeby zbytku już i w dawnych wiekach odpowiadało powyższemu, mylnemu określeniu. Najlepszym tego dowodem są przepisy, które według stanu i mienia odnosiły się do odzieży, mieszkania, ozdób, a nawet i do jadła. Już Karol Wielki narzekał na zgubne w jego państwie upodobanie do kosztownych strojów i wydawał surowe przepisy dla ukrócenia go.

Przepisy, obowiązujące mieszczan w wyborze odzieży, szlachtę zaś powstrzymujące od bajecznego przepychu, jaki roztaczać przywykła podczas turniejów i tym podobnych igrzysk, znajdujemy wydane już w r. 1371 w Zurychu. W roku zaś 1497-ym, po sejmie w Worms, zapadła surowa uchwała, tycząca ubrań chłopów i mieszczan, zabraniająca wyraźnie chłopu i wyrobnikowi używania tkanin z przedniej wełny, a mieszczanom i rzemieślnikom noszenia jedwabiu, aksamitów i szkarłatu. Na sejmach następnych, w rozmaitych miastach środkowej Europy, ogłaszano przepisy, odnoszące się do złotych i srebrnych ozdób, jak również i do klejnotów. Mniej więcej z tej samej epoki datuje zakaz, wydany przez Radę Dziesięciu, w Rzeczypospolitej Weneckiej, zakaz przyozdabiania gondol kosztownymi kruszcami i złoceniami. Powodem owego zakazu był nadmierny zbytek, w jakim mieszkańcy Wenecyi prześcigali się wzajemnie. Od owej pory, stosownie do wydanego przepisu, wolno było posiadać gondole tylko czarne, i takimi przechowywano je tradycyjnie do dnia dzisiejszego.

Gorliwiej, aniżeli świeckie władze, przeciw

zbytkom występowało duchowieństwo, często na czas długi osiągając wpływ potężny.

Zbytek w dawnych wiekach, tak samo, jak i zbytek obecnie, nigdy nie ograniczał się jedynie do strojów i klejnotów, lecz obejmował urządzenia domów i mieszkań, oraz uczy, które — zwłaszcza podczas znakomitszych uroczystości — dochodziły do bajecznego przepychu.

Trzeba przyznać, że aczkolwiek ludzie wiecznie narzekają i z żalem opowiadają o dawno minionych czasach, obecne warunki bytu nierównie są lepsze i przyjemniejsze, aniżeli warunki w czasach odległych; narzekanie zaś na obecny zbytek w porównaniu ze zbytkiem zeszłych wieków nie zawsze bywa uzasadnione, albowiem zbytek obecny wypływa poniekąd z potrzeb ogólnej kultury.

Nie biorąc pod uwagę jednostek, w zbytku dochodzących do niezdrowej i zgubnej przesady, śmiało rzec można, iż tylko pozornie zbytek dzisiejszy zdaje się być wzrastającym ciągle. Wzrost potrzeb naszych uzasadnia go w racjonalnem tego słowa znaczeniu, a wzrost ten przypisać należy postępowemu rozwojowi przemysłu i udoskonaleniu rozmaitych, służących ku naszej wygodzie wynalazków. Dziś nie tylko uprzywilejowane klasy wybranych przyswoić sobie mogą wiele środków i przedmiotów ku wygodzie i uprzyjemnieniu życia przeznaczonych, i gdyby, jak już zaznaczyliśmy, każdy umiał zachować granice, odpowiednie do swego majątkowego i społecznego położenia, zarzut zbytku upaśćby musiał.

Nigdy też zapominać o tem nie należy, iż zadowolenie wymagań naszej wygody i upodobania, choćby i w dozwolonym zakresie, winno być uważane za uprzyjemnienie życia, nie zaś za główny cel onego i że człowiek, narażający dla powyższych przyczyn dobrobyt rodziny, popełnia ciężkie przewinienie i to nie tylko względem najbliższych obchodzących go jednostek, lecz i względem całego społeczeństwa.

Zbytek, jako źródło, odżywiające przemysł i handel, koniecznie uważany być winien za ruch, ekonomicznie potrzebny. Należy go uważać za drogę, wyrównyującą choć w drobnej części nierówny podział dobra ogólnego. Posiadacze wielkich kapitałów, używający kosztownych przedmiotów zbytku, dostarczają tysiącom rąk zarobku. Jak masa wód, zebrana w chmurach, spływa na pole w postaci posilnego deszczu, tak samo część bogactw, zgromadzonych w ręku klas uprzywilejowanych, za sprawą wyłożonych kosztów, poniesionych na zaspokojenie zbytkownych potrzeb, przesiąka do warstw, pracą rąk zarabiających na swe wyżywienie.

Dodać atoli należy, iż tutaj, tak samo, jak we wszystkim i wszędzie, znaleźć można odwrotną stronę medalu. Zbytek stać się może zgubą kraju, tak samo jak zgubą pojedynczej rodziny, a stać się to może wtedy, gdy wymagania zbytku nadto gwałtownie przekroczą siły krajowej wytwórczości. Albowiem, gdy przemysł miejscowy, niedostatecznie rozwinięty, nie jest w możności odpowiedzieć potrzebom sfer bogatych, musi to spowodować wywóz kapitałów po za granicę kraju.

Jeśli więc nawet przyznamy, że niema kraju, w którymby wszystkie gałęzie przemysłu

były jednakowo doskonale rozwinięte i że każdy kraj czerpie z obczyzny i to, i owo, w każdym atoli razie, uznając, że zbytek podtrzymuje sztukę i silnego dodaje bodźca przemysłowi, pamiętać winniśmy o tem, iż prawdziwy dobrobyt kraju polega na możliwie dobrze ustosunkowanej równowadze między wymaganiami potrzeb ogółu, a siłą produkcyjnej miejscowego przemysłu.

Zofia Seidlerowa.



Czy znasz tę chwilę?



Czy znasz tę chwilę, gdy na skrzydłach ducha,
Osiądziesz tuman niewiary, zwątpienia,
Gdy miast nadziei, w sercu pustka głucha,
Miast szczęścia czujesz mąk drżenia?

Czy znasz tę chwilę, kiedy pochylone
Twe barki zwisną, jak konary drzewa,
Gnącego kark swój wyniosły na stronę,
Gdy robak toczy mu trzewa?

Czy znasz tę chwilę, kiedy jad rozpaczy
Bluzga potwarzą przeciw ducha wierze,
Gdy myśl swój polot krwią serdeczną znaczy,
Z przekleństwa miesza pacierze?

Znam ją: to chwila walk śmiertelnych w duszy
Chwila, co sercu zdaje się być wiekiem;
Znam ją i cenię, bo pośród katuszy
Czuje, że jestem człowiekiem!

E. G.



M A C I E J.



Ksiądz wyszedł i w izbie zostały już tylko baby. Jedna przez drugą przysunęły się teraz do tapczana, żeby raz jeszcze Maciejowi się przypatrzeć i obaczyć, jaką też mękę ma na końcu.

Najciekawszą była Marcinowa; zawsze to ona do siebie miała, że umierającemu zaglądając w same oczy, głosem pełnym przerażenia robiła uwagi. I teraz uczyniła toż samo, splotła dłonie na brzuchu, pochyliła się nad chorym i litowała się bezczelnie:

— Och, moiście wy, jaki to on już czarny, a ten nos, to mu się już precz wyciągnął — och! już i zimne poty biją na niego... wieczne odpoczywanie!...

Kuma Jaskowa trąciła ją w bok...

— Ady un jeszcze żyje — nie godzi się.

— A no prawda — przyznała Marcinowa, — no, ostają z Bogiem Macieju, już my ta wam nie pomożemy!

— Bogać ta! — wtrąciła stara Magda, — już se ta kuźdy za siebie ten mument odprawie musi.

— A może to Pan Jezus jeszcze odmieni — odezwiała się Michałowa cienkim, melodyjnym głosem. — U Pana Boga to wszystko łąco;

moja babka już trzy razy konali, a i to pióra jeszcze skubią. Bądźcie zdrowi, Macieju!

— Ehe... — ozwała się głupia Tekla, — już to waszej babki do Macieja nie przykładają. Babka, wiadomo, kobiecką chorobę miała, a Maciej przecie chłop. No, umierajta se z Bogiem, Macieju, ja do was nijakiej urazy ni mom, to i wy mi ta te gęsi darujecie; już ta i tak wyganiać mi ich nie bedzieta!...

I skinąwszy głową choremu, za Michałową wyszła.

Przechodzący wszystkie zwolna przez bardzo wysoki próg i schylając głowy w niskich odrzwiach, mówiły do siebie półgłosem — prawdopodobnie o tem, że na pogrzebie takiego biedaka, to i wódki chyba nie będzie. Ostatnia wysunęła się gospodyni chałupy — stara Szymkowa.

Przez całą noc mało co spała, bo Maciej jęczał okrutnie; obiadu — w oczekiwaniu księdza — nie gotowała nawet, więc teraz, wyjąwszy z letniego pieca garnuszek wczorajszej kapusty, przed dom posilić się wyszła. Przedtem jednak i ona przed Maciejem przystanęła.

— Już wam ta i ja tu nie poradzę, leżta se i spokojnie terminu czekajcie — woła Boża. On nad nami najwyższy Pon i Ociec!... Wodę na stołku wele ręki wam postawiłam, a jakbyśta jescce cegoj zachcieli, to wołajta, ja przed chałupą na przyzbie siędę.

Przełożyła z trudnością stare nogi przez próg i mrucząc o swoim własnym terminie — do sieni wyszła. W izbie zrobiło się cicho.

Maciej wyciągnięty prosto, z rękoma opadłymi wzdłuż ciała, spokojnie sobie leżał. Po raz pierwszy w życiu kłopotów już żadnych w głowie nie miał i odczuwał to wyraźnie. Bo i wczoraj jeszcze i przez całą noc jeszcze trapiły go rozmaite troski. Myślał o ostatniej już spowiedzi; martwił się, kto to w czas roboczy po księdza jechać zechce i wstyd mu było, że do ŚŚ. Sakramentów leży w podartej koszuli. Aż tu od rana sam Pan Jezus chyba, pociechę mu zesłał. Przyszedł karbowy Bartłomiej i powiada:

— Ani se myślitą, Macieju, jak wam się pięknie złożyło. Moja dziewczucha z masłem wczoraj poszła do dworu i opowiedziała samej panience jakosta chorzy, i frasujeta się jeszcze. Panienska powtórzyła pani, pani panu, i patrzajta, przysłali wam bez moją Maryskę panowom koszulę, obiecali posłać po księdza i suchych desek na trumnę wam dać.

I karbowy, wyjąwszy z zanadru zwiniętą białą koszulę, Maciejowi ją wręczył.

To też Maciej leży teraz w panowym obleczeniu i spokojny jest po świętej spowiedzi, jak dziecko.

— Śmierć — myśli — i cóże ta śmierć jest?... bólu w sobie nie czuje już nijakiego, o nie się już nie kłopotą. W izbie cicho, święte obrazy w słońcu wiszą, a on se leży i Pana Jezusa czeka; jeżeli ta śmierć taka je, to je dobra.

Wzniósł oczy na przeciwległą ścianę i wpatrzył się w obraz. Matka Bożka, sama Częstochowska, wyraźnie spogląda na niego, dziw... dziw jak patrzy, a Jezus się uśmiecha, sam Jezus, taki maluski!...

Jakby jakieś echo zamierzchłej przeszłości wspomina sobie, jak dzieckiem będąc, dziwo-

wał się, bo głupi jeszcze był, że taki maleńki Jezus takim wielkim panem na niebie. Jak dzieckiem był!... oczy Macieja wpiły się w obraz święty i oderwać się nie mogą. Patrzy — patrzy... a święte figury rozpluwają się we mgle jasnej i tylko ramy stoją. Aż tu... niepojęta jakaś siła i ramy rozsuwa szeroko i cała ściana w te mgły ucieka. O Jezu Nazareński!... Toć on nie stary Maciej przecież... Łąka zielona, a na niej ludzie trawę siekają. Poprzed rodzony jego dziadek stąpa i mały Maciek rzeźko do dziada biegnie.

— Dziadku, dziadku! — woła i śmieje się, — musi, to wy tam u Szymonowej leżeli.

— Głupiś! — odpowiada stary i het kosi, — ja we własnej pomarł chałupie, to ty sam u Szymonowej był.

Ale Maciek śmieje się jeno.

— Ady ja mały chłopak jestem, a u Szymonowej leżał takuteńki stary, jak i wy, całkiem do was podobny.

Ale dziad telo głową trzęsie: „Oj, oj, głupi ty był i ostał i sam nic nie wiesz! My tu już wszyscy „na tamtym świecie“ jesteśmy. Łąkę kosim, Panu Jezusowi na świeże siano do żłobka. Jeno że my gospodarze, to kosim — a ty co? Ani ty baby nie miał, ani dzieci, z chałupy i gruntu dał się wygryźć, całe życie parobkiem był. Ani ty gospodarz, ani ociec, ani chłop — to i chłopakiem na tej świętej łące ostał; my kosim, a ty jeno grabić będziesz.

Maciek słucha i dziw go ogarnia! On Panu Jezusowi święte siano grabić będzie i znowu małym chłopakiem jest i jako ten żrubak brykać może.

Olbrzymia radość rozsada mu piersi, chce krzyknąć z wielkiej uciechy, chce...

Ostry, przenikliwy ból tamuje oddech Macieja i stary budzi się... — to ino mary stały, ino mary... Dziad leży i w śmiertelnej męce krztusi się własnym oddechem. W piersiach go prze, serce tłucze się, jak u ptaka, usta palą.

— Śniło mi się — myśli z goryczą i wychudła, zczerniała dłoń ku wodzie wysuwa. Ale już garnuszkowi poradzić nie może, nijak go nie dzwignie, nijak.

Macza tylko wyschłe palce w ocieplonym płynie i oblizuje cheiwe.

Kilka kropel po rozpalonym języku spłynęło i stary rzeźwieje.

Spogląda po odrapanych ścianach i z ciekawością wsłuchuje się w miękki szum wiosennego wiatru. Gałęzie czeremchy, osypane białym kwiatem, chwieją się tam w ogródku, to w tę, to w tę stronę i przez mętne szybki miotają po izbie przeźroczyste cienie. Chwila, a ściana cała błysnie w słońcu, chwila, a jasny cień ją pokrywa.

Chory wpatruje się w te ruchy i zaczynają go one bawić, potem na trzeźwo przypomina sobie swój sen i miarkuje — prawda, głupi był. Bracia odebrali mu grunt, siostra chałupę, a on wcale się nawet nie bronił. „Wasze, pedacie, to wasze, i tak do losów pójde“ — jakież i poszedł.

Ściana cała aż drży od miotających się tam za oknem gałęzi i w oczach Macieja zaczyna drzeć i migotać. Gorączka znów go rozpala, ale co tam! Im wszystkim tu gorąco — bo Maciek kolejom jadzie, na Krym jadą.

Zegnali ich kupę całą z rozmaitych stron, a wszystko rekruty: postrzyżone głowy, szare szyniele i tobołki. Przez otwarte okna wagonu płyną takie ognie słoneczne, że się tu wszyscy, jak łojowe świeczki topią. Kuba swojak, to aż osłabł, na ziemi przysiadł i taki blady, jak chusta. Po twarzy płyną mu łzy za żoną i dzieckiem i nie wstydząc się już, głośno płacze.

— Oj, Kuba! — woła Maciek, — pomoże ci ta, co jak baba becysz? ja wcale w niwczem se to mam. Da Pan Jezus, to da; wróce, to wróce; ino gorąc duży, ojej!... — oddycha ciężko i miarkuje wyraźnie, że chłopakowi zawdy łatwiej we świat, niż chłopu.

— Wasze, to wasze! — myśli biernie, — ja i tak w cudze ziemie muszę.

Wtem pociąg staje i „starszy“ każe wysiadać. „Piechta“, to piechta!

Pociąg ze świstem odchodzi i gromada ludzi zostaje w szczerem polu. Już też i noc prawie. Żar ustał i wieczorna rosa pada. Chłopakowi robi się rzeźko i zaczyna się rozglądać z ciekawością: na prawo, na lewo góry wysokie, a w pośrodku wielka dolina. Cała wieś ze stodołami okręciłaby się na niej. Samym środkiem mokradła chyba, bo wychodzą z nich białe pary, jak dym z kadzielnicy w kościele.

Maciek patrzy i dziwuje się, bo z tej białej mgły jakieś wielkie osoby powstają, niby skrzydła mają za plecami, niby włosy rozpuszczone.

— Janioły, janioły same!...

Pochyla głowę i chce się w piersi uderzyć.

— Boże, bądź miłościw grzesznej duszy mojej! — mówi.

Ale ręce przyrosły mu do boków, stęzał cały z wielkiego dziwu. Więc znowu patrzy i widzi, że pusto, tylko się ta mgła zwyczajnie po łąkach ściele i Maćkowi zimno od niej aż w kości idzie.

— Kuba, gorąco ci! — żartuje z kamrata, ale ten wcale go nie słyszy, zapatrzył się hen, po dolinie, po górach i z frasunku, to ci aż gwiazdy rachuje.

Maciek trąca go w łokieć, aliści Kuba gębę otwiera. Po twarzy przelatuje mu jasność i mówi łkającym głosem:

— Maciek, Maciek, ady patrzaj, to nasz księżyc, takuteńki jak nasz, kiej z za stodoły wychodzi.

— A prawda!... — przytwardza Maciek i coś go ogartuje, ni to żal, ni radość.

— Jasiek! Jasiek! a pudź tu zatracony!... — ostry, świdrujący głos Bartoszewej budzi chorego.

Jasiek, urwis na całą wieś, wdrapał się na zaróżowioną jabłonkę i nie daj Boże, spadając, jeszcze całą gałąź obłamie. Tyle kwiatu, co tu jabłek być może!

— Jasiek! — wrzeszczy Bartoszewa, a przenikliwy głos jej przebija słuchające uszy.

Maciek opomina się, nie we wojsku jest — a na łóżku leży i umiera. Już go i gorąco odeszło i nijakiej siły w sobie nie ma. Muchy obsiadły mu głowę, a on cały w zimnym pocie nie może im się opędzić. Serce przestało mu się już tłuc, coraz wolniej oddycha i z trudnością wspomina sobie oba sny.

— Ha — miarkuje zwolna, — musi to przede śmiercią przez całe życie przejść potra.

Był na łące chłopakiem, był tera we woj-sku, het, precz był!... Zbiera mozolnie uciekające myśli, i nie może ich zebrać... bo musi pierwszej wyciągnąć ze śniegu furę zbiórki. Na „miętką“ ziemię śnieg upadł w nocy, tera znowu zelżało i drogą ani rusz. Już i ko-była ledwie cipie. Tylne koła po osie zapadły—i ani gadania, samo bydlę rady nie da. Maciek brodząc po kolana w śniegu, ujmuje za koła, a wtem? o Jezu!... cały wóz okuty żelaztłem, pełen namiękłych od wilgoci ga-łęzi, na piersi mu spada. Rety!... te...

Przerażający okrzyk chorego podnosi z przy-zby chaty drzemającą Szymkową.

W jednej ręce trzyma baba garnuszek, w drugiej łyżkę, i jak się ocknęła, tak po-derwana do izby wpada, gdzie Maciej z otwar-temi ustami, z przerażonym wzrokiem miota się na tapczanie.

Starej nogi do polepy przyrosły i sama po-czyna dygotać, bezwiednie ściska w rękę trzy-mane przedmioty i ze strachu od chorego oczu nie może oderwać.

Maciej tymczasem uspakaja się, dusznota mu przechodzi i coś mówić zaczyna. Ale co? Bóg go ta raczy wiedzieć!...

Szymkowa pochyła się, chce usłyszeć — nie może. Domyśla się jednak, co mu było. Uklepuje więc niedojedzoną kapustę i znowu na kominie ją stawia; nakrywa garnuszek den-kiem, na denku składa łyżkę i zaczyna cho-rego pocieszać.

— Chrapoty cię łapia, chudzino, chrapoty, ha, cóż? śmierć to śmierć — twarda je. Jak na początku świata świętego Pietrawina po-chowali, a on ci grontu, sprzedając, jak nale-ży nie odpisał, jeno piniądze wzion. A po-tem na św. Stanisława, co to mu odpust w wielkim ołtarzu na Zagrąbkach je, o ten kupny gront krewni nieboszczyka nastawali, taki św. Stanisław, jako że samym biskupem był, tego świętego Pietrawina z grobu wypro-wadził i na świadectwo stanąć mu kazał. Ha! no, świadectwo w żywe oczy było, krewni i przed kumisarzem przepadli, a święty Stani-sław z wielgi radości mówi: „A to Pietrawi-nie tyż święty, jezeli chcesz, to ja ci jako sam biskup u Pana Boga kumpletny powrót na ziemię wyproszę—no chcesz?...“ A święty Pie-trawin pyta jeno: „Bracie święty! a żyjący, jak znowu do końca swego dońdę — tyż raz jeszcze kunać mam?“ „Po sprawiedliwości—mówi biskup — żyć chcesz i kunać musisz!“ Tak ci święty Pietrawin bez nijakiej sprzecz-ności bach w trumnę i mruczy: „I życia już nie chcę, i kunania tyż.“ Tak ci to widzisz, chudzino, same święte kunania się bojom... Ale ty, Maciusiu, jeszcze się nie bój, jeszcze do wieczora pożyjesz, jeszcze se z parę godzin na ten wielgi świat Boży popatrzysz!...

Wyciągnęła rękę i dotykać go poczęła.

— Och, jeszcze i głowę ciepłą masz, i ser-ce ci jeszcze, jak u kurczęcia cipie, jeszcze!

Zmęczona i zachwycona własną wymową, umilkła, ale Maciej z tego wszystkiego usły-szał jedno tylko słowo: śmierć!

Śmierć koścista, w białej płachcie, jak na żałobnej chorągwi, stała przed nim i wzno-sząc ręce, pokrywała go swą płachtą.

Mróz szedł od niej; więc Maciej rozstawiw-szy palce, począł ją spędzać:

— Ady mi czas jeszcze, jeszcze wiosna, jeszcze lato na dworze!...

Ale ona zbliżała się coraz szybciej i świsz-cząc, mówiła: „Nie dla ciebie ta wiosna i nie dla ciebie to lato, tobie zima już. Na świe-cie i tak narodu kupa, im lato jeszcze!“

On jednak bronił się stanowczo, miotał pal-cami i mówił:

— Jeszcze tyła ludzi po świecie chodzi, ady i mnie dozwol jeszcze!

Tedy ona zarzuciwszy mu zimną płachtę na nogi, uragać zaczęła:

— Już nie tobie chodzenie! już ty próchno stare, jeno drugim miejsce zabierasz!...—i ona płachtę pod samo serce podciągnęła.

Wtedy w ostatniej trwodze Maciej szarpnął się i ocknął. Otworzył przygasłe oczy, spoj-rzał w słoneczną przestrzeń izby i zalała mu duszę bezmierna rzewność. Począł lkać i grad łez spłynął po steranych policzkach.

— To już je śmierć! — pomiarkował wre-szcze, po raz pierwszy z prawdziwym zrozu-mieniem całej grozy.

Już nie myślał o niczem, już nie wiązał nici ubiegłego żywota — już naprawdę umie-rał. Oczy poczęły mu nieruchomieć, palce sztywnieć; spróbował ozwać się jeszcze, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Czuł na ły-sej czaszce palące kąsanie much, ale nie mógł ich opędzić i cierpiał. Czuł, że kostnieje, i że mu już tylko w głowie zostało trochę ciepła, więc zapragnął się poruszyć — ach, raz jesz-cze!... Ale jak skrzepowany, leżał jak drewno i dusił się.

Z rozwartych jego ust wybiegał chrapliwy świst, pomroka zachodziła na oczy i świad-ość już ginąć poczęła, pozostała tylko męka.

Nie słyszał już głosu zebranych ludzi, nie widział żółtej gromnicy, konał, lecąc w czar-ną, niezgłębianą otchłań... Aż nagle, jak pio-run spadający na ziemię, grubą noc rozświe-tła swym blaskiem, tak ostatni odruch giną-cej myśli wstrząsnął starcem: „Jezus!...“ Nie-ziemski blask zamigotał nad zawartemi po-wiekami Macieja i na zastygłej jego twarzy stanął spokój.

Z. A. Z.



POGADANKI NAUKOWE.



I.

CHLEB.

Historia powstania.—Materiały doń używane, ich war-tość spożywcza.—Wartość spożywcza samego chleba.—Spo-soby przyrządzania.—Hygiena chleba.—Sposoby fałszo-wania.

Nie jedna z pięknych czytelniczek uśmiech-nie się ironicznie na widok tematu, który w dzisiejszej pogadance naukowej opracować zamierzamy.

Autor chce nas, gospodynie, które zęby zjadły na pieczeniu słynnego polskiego wiej-skiego chleba uczyć, jak się go piecze?—po-wie do siebie nie jedna ze zawołanych gospo-dyń. Nie, szanowne i piękne Czytelniczki, nie jest mym celem uczyć was pieczenia chleba, boć to umiecie wybornie, ale wyjaśnić, czem

jest ten chleb, o którego ważności i modlitwa Pańska, i codzienne doświadczenie uczy, ja-kie stanowisko zajmuje pomiędzy artykułami spożywczymi i dlaczego go się w ten sposób piecze, jak Wy to szanowne Czytelniczki czy-nicie, a nie inaczej. Każda gospodyni wie dobrze, w jakim stosunku brać mąkę do wo-dy, ile dodać kwasu lub drożdży, aby chleb był smaczny, i t. d., i t. d., bo ją tak od wiek-wieków nauczono, a wiadomości te pochodzą z doświadczenia, jak wogóle większa część wyników technicznych. Do codziennego życia jestto wystarczającym, ale duch ludzki jest ciekawy, i nie zadawalnia się samemi wyni-kami, on bada dalej, idzie po nitce do kłębka i szuka wytłomaczenia zjawisk. W tym celu zatem będziemy się starali piękne Czytelniczki objaśnić Was, czem jest ten w naszym życiu niezbędny środek spożywczy.

Początki przyrządzania i pieczenia chleba odnieść należy do zamierzchłych czasów przed-historycznych, gdyż jak tego odkrycie pro-fessora Wittmacka dowodzi, który w roku 1896 w Monachium na zgromadzeniu kongre-su ogrodniczego okazał chleb egipski staro-żytny, Egipcianie przed 4400 laty umieli już chleb jęczmienny wyruszony wypiekać, a ileż to wieków musiało się złożyć swem doświad-czeniem i próbami, zanim Egipcianie sztukę tę rozwinęli? W tym wypadku, chcąc mieć jakie takie w przybliżeniu pojęcie, jak pier-wsi ludzie chleb robili i piekli, lub też w ja-kiej formie zboże spożywali, należy studyo-wać dzikie pokolenia malajskie i murzyńskie, które w okolicach białym trudno dostępnych żyją dziś jeszcze w epoce t. z. kamiennej t. j. w czasach dla Europy zamierzchłych, kiedy to nasze praszczury miały broń kamienną i ży-wiły się przeważnie na pół lub całkiem suro-wem mięsem, jako przysmak surowy szpik z kości zabitych zwierząt czy ludzi spożywa-jąc. Ze spostrzeżeń nad owymi plemionami wynika, że początkowo chleba wcale nie zna-no, i tylko rozgniatano zboże pomiędzy ka-mieniami, następnie gotowano i spożywano w ten sposób przyrządzany rodzaj polewki. Z biegiem czasu nauczono się ziarno prażyć, a Numa Pompilius, legendowy drugi król rzymski ustanowił nawet z tej okazji corocz-ne święto religijne. Za czasów Homera znano już chleb niewyruszany, rodzaj placek pie-czonych na gorących kamieniach lub w po-piele, a żydom za czasów Abrahama chleb taki też był znany, lecz dopiero Mojżesz na Wielkanoc, czyli święto Paschy, zabronił im jeść chleb wyruszany. Z tego wynika, że Egipcyanom należy się palma pierwszeństwa wynalezienia chleba wyruszanego, czyli z za-prawą fermentową, z t. z. kwasem. Pierwszy krok był najtrudniejszy; potem sztuka piecze-nia i to nie tylko chleba po zbudowaniu pie-ca piekarskiego szybko się rozwija i nawet dochodzi do wysokiego stopnia. Wizerunki odnalezione z II-go wieku przed Chrystusem pouczają nas, że już wówczas kwitła sztuka cukiernicza, szczególnie u Rzymian, a wy-stawne ich obiady, których jadłospisy nas doszły, pouczają, że między innymi daniami przy końcu obiadu podawane bułeczki pice-tyńskie niepoślednią grały rolę; jak były je-dnak przyrządzane, o tem historia kulinarna rzymska milczy. Za czasów cesarza Augusta,

t. j. w drugiej połowie I wieku przed Chrystusem liczono już w samym Rzymie ponad 300 pieców piekarskich, w których wypiekano rozmaite gatunki chleba. Od Rzymian przeszła sztuka pieczenia chleba najsamprzód do Gallów, którym przypisują pierwszym użycie drożdży zamiast kwasu. W środkowej Europie używanie chleba wyruszonego datuje się dopiero od początku średnich wieków, t. j. między IV a V wiekiem po n. Chr. Jako pozostałość owych czasów chleba niewyruszonego znajdujemy po dziś dzień u nas t. z. podpłomyki, u Żydów mace, a w Szwecji aż do XVI w. powszechnie używany chleb w kształcie okrągłych, cienkich, suchych placków. Od wieku XVIII chleb przeniecny wypiera coraz więcej chleb żytni, od czasu wędrówki narodów wyłącznie używany, tak, że obecnie chleb żytni spotykamy tylko w Niemczech, Rosyji i u narodów skandynawskich.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, do polewki zamiast chleba początkowo sporządzanej używano głównie rodzaju orkisz t. j. przeniecy, następnie żyta, wreszcie już do chleba wyruszonego, obu tych gatunków ziarna, kukurydzy, jęczmienia, owsa, ryżu, wreszcie mieszaniny z mąki kukurudzianej, przeniecnej i żytniej, z której to wyrabia się szczególnie smaczny chleb żółtawy, nieznoszący jednak wysokiego gorąca w piecu. W końcu chleb t. z. kassawa w Brazylii powszechnie używany, wypiekany z bulw rośliny manihot (*Jatropha manihot* Lin.) inaczej maniok zwanej, i chleb z prosa egipskiego, znany pod nazwą chleba durra.

Co się tyczy wartości spożywczej wymienionych materiałów do wypiekania chleba używanych, to dokładne badania chemiczne nas pouczają, że pierwsze miejsce w tym względzie należy się kukurudzy, przeniecy, następnie żytu, wreszcie innym gatunkom ziarna. Lecz słusznie zapytacie się, piękne Czytelniczki, w jaki sposób ocenić należy wartość spożywczą jakiegoś ziarna? Czyniąc zadosyć temu samo przez się nasuwającemu się pytaniu, musimy cośkolwiek potrafić o chemię, lecz tyle tylko, ile jest koniecznem, aby zrozumieć, na czym polega wartość pożywienia w ogóle. Otóż środek jakikolwiek do pożywienia służący tem jest korzystniejszy dla organizmu ludzkiego, im więcej zawiera w najszczerplejszej objętości substancji potrzebnych do wytwarzania ciepła i wyrabiania krwi w ciele człowieka. Objasnimy to na przykładzie; i t. jeślibyśmy przyjęli za normę chude mięso wołowe, to ono z jednego funta wyda tyle pożywnych części dla ciała ludzkiego, jak 6 funtów ziemniaków, czyli że chude mięso wołowe jest sześć razy pożywniejsze od ziemniaków. Używszy tutaj może drastycznego, lecz trafnego porównania, nazwiemy organizm ludzki nader skomplikowaną maszyną, w której trzeba ciągle palić, aby ją w ruchu czyli życiu utrzymywać. Paliwem jest pożywienie, a piecem żołądek, kiszki i płuca. Gdy zatem w piecu zapalę, dajmy na to mokremi liśmi, to mam więcej znacznie dymu i pary, jak płomienia i ciepła, gdy zaś zapalę węglem kamiennym, to mam bardzo dużo ciepła, a popiołu mało. To samo się dzieje i z pokarmami, mięso daje siłę i konieczne ciepło do utrzymania życia w małej stosunkowo obje-

tości i pozostawia bardzo mało części do odżywiania zbytecznych, ziemniaki zaś przy wielkiej objętości dają stosunkowo mało pożywienia, a dużo części niepożywnych. Mimo woli zapyta się niejedna z pięknych Czytelniczek: „Wszystko to dobrze, ale jeszcze nie wiem, dlaczego mięso jest znacznie, bo 6 razy pożywniejsze od ziemniaków, a dwa razy od chleba, tem więcej, że tak mięso, jak ziemniaki i chleb przyczyniają się przecież do utrzymania życia w ciele ludzkim, coż jest przyczyną tego?” Przyczyną mniejszej lub większej pożywności pokarmów jest mniejszy lub większy procent zawartości w nich t. z. w chemii związków azotowych i węglowodorów (połączenia węgla z wodorem), które ciało ludzkie najłatwiej i z największą swą korzyścią sobie przyswaja, przerabiając je na krew, a co za tem idzie i ciało, t. j. mięśnie i t. d. i t. d. Każdy materiał przeto do wyrobu chleba użyty powinien zawierać jak najwięcej związków azotowych i węglowodorów; czy tak jest istotnie, zaraz to stwierdzimy.

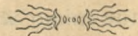
Przekroiwszy ziarno np. przeniecne przez pół, w kierunku jego długości i dawszy je pod silny mikroskop, zobaczymy, że ziarno to jest jakby woreczkiem, w którym jest umieszczona duża ilość t. z. skrobi czyli krochmalu; powłokę zaś, w życiu potocznym otrębami zwaną, w której owa skrobia jest zamknięta, tworzy nasamprzód twarda skorupka zewnętrzna z włókien drzewnych się składająca i jako taka bez wartości pożywnej, następnie trzy warstewki mniejszego znaczenia miękkie, na koniec najważniejsza powłoka najwięcej pożywnych części zawierająca warstwa białkowata, która otula samo jądro, ze skrobi czystej się składające. Mąka przeto, z której nie wydzielono mechanicznym sposobem wyżej wspomnianej warstwy białkowej, służy do wyrabiania najpożywniejszego chleba a tym jest bezsprzecznie chleb razowy lub Grahama, które to oba rodzaje chleba zawierają w sobie prócz jądra skrobiowego ziarna też i otręby. Młynem przeto jest ogólnie rozpowszechnione mniemanie, jakoby chleb biały, zupełnie otrąb pozbawiony, był najlepszym i najpożywniejszym, gdyż rzecz się ma przeciwnie. Ważną tutaj rolę w pożywności mąki grają w niej zawarte też gumy, z których najważniejszą jest dekstryna. Chleb przeto jest tem pożywniejszy, im więcej owych gum mąki w sobie zawiera, z której jest wypieczony — co się głównie odnosi do chleba razowego.

Co się tyczy samego przyrządzania ciasta na chleb, to o niem mówić nie potrzebuję, bo ten jest Paniom aż nadto znany, a sposoby i sposobiki drogą długoletniego doświadczenia osiągnięte i wypróbowane, są zwykle ściśle strzeżoną tajemnicą każdej gospośki, której dociekać nie myślimy, która zresztą dla konsumenta brzydszej połowy rodzaju ludzkiego jest najzupełniej obojętną, jeśli tylko sam chleb jest smaczny i zdrowy. Nie możemy jednak pominąć użytku drożdży, kwasu i proszków, oba pierwsze środki zastępujących, które mają na celu uczynienie ciasta pulchnem i lekkim, a co za tem idzie smaczniejszym i strawniejszym. Aby ciasto na chleb przyrządzone, t. j. zarobione, było dobrem, musi uleść na wskroś przemianie tak, aby tworzyło rodzaj gąbki. Cel tej przemiany jest ten,

aby najpierw gorąco w piecu, wnikać do wyruszonego ciasta, objęło jak największą powierzchnię tegoż, a następnie aby w cieście dokonały się pewne zmiany chemiczne, które tem łatwiej się dokonują, im lepszej mąki na ciasto użyto i lepiej je wyrobiono, w końcu im więcej wyrosło. Wyrastanie zaś ciasta, jak to już wyżej powiedzieliśmy, uzyskujemy przez domieszkę doń drożdży, kwasu lub proszków odpowiednich. Drożdże jestto rodzaj drobnoustrojowych grzybków, które w korzystnych warunkach np. odpowiedniej ciepłocie bardzo szybko się rozmnażają, przyczem mają tę właściwość, że w cieście z pewnymi bakteriami, wytwarzającymi kwasy i rozpuszczającymi skrobię, część tejże przetwarzają w dekstrynę, a następnie cukier i spowodowują dopiero, iż ów cukier rozpuszczony fermentuje cokolwiek, przyczem jak przy każdej fermentacji wywiązuje się kwas węglowy, tworzący z ciasta rodzaj gąbki, czyli że ciasto rośnie, i staje się wówczas zdatne do wypieku. Dobre drożdże powinny mieć przyjemny zapach winny, i w próbie ciasta, w ciepłym miejscu w przeciągu $\frac{3}{4}$ —1 godziny wywołać silną fermentację. W podobny sposób wywołuje i kwas t. j. surrogat, czyli zastępczy wytwór drożdży, fermentację w cieście, pobudzając je do rośnięcia.

T. Harajewicz.

(Dokończenie nastąpi).



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



«Manru». — Opera. — Filharmonia. — Hellmesberger. — Nowości muzyczne.

Za objaw bardzo pocieszący uważać trzeba ten fakt, że dzieło naszego kompozytora w niespełna rok po jego pierwszym ukazaniu się na scenie przyswojone zostało naszej operze. Czy na tę okoliczność wpłynęła chęć zerwania z dotychczasową rutyną ze strony reżyserji, objawiającą się w wyczekiwaniu, dopóki dzieła autorów nie... zbutwieją w ich tekach, czy też przyczynił się do tego rozgłos, towarzyszący „Manru” nie tylko przy jego ukazaniu się, lecz na długi czas przedtem, w to wchodzić nie będziemy — dość, że opera Ignacego Paderewskiego weszła na deski sceniczne w Warszawie, i, powiedzmy odrazu, wstępnym bojem zdobyła sobie rzetelne powodzenie. Znakomity pianista, znany z dotychczasowych swoich utworów, jako kompozytor liryczny, przedzierzgnął się w kompozytora dramatycznego i dał w swoim dziele miejsca o takiej sile i ekspresji, okazał tyle temperamentu przy odtwarzaniu uczuć i charakterów postaci, działających w akcji scenicznej, ujawnił tyle uczucia dramatycznego, że niktby nie uwierzył, iż jest to pierwsze dzieło jego na tem polu. Paderewski dowiódł, że potrafi być nie tylko mistrzem fortepianu i jako taki grać na sercach ludzkich; zagrał on na sercach tych i jako twórca dzieła, posiadającego mimo pewne usterki wartość ogromną. Treści libretta „Manru” przytaczać nie będziemy; wystarczy powiedzieć, iż zaczerpnięte zostało ono z „Chaty za wsią” Kraszewskiego, a uzupełnione kilku epizodami i przeznaczone częściowo stosownie do wymagań muzyki, a zarazem gwołi efektów scenicznych. Nie można powiedzieć, aby ta przeróbka udała się autorowi jego, p. Nossigowi, zupełnie szczęśliwie — przeciwnie, trudno się zgodzić na pewne odstępstwa od oryginału, zarówno w przeniesieniu akcji w okolice, gdzie Cygan zachodził rzadko i był uważany niejako za paryasa

w Tatry, gdzie lud, sąsiad Cyganów węgierskich, nie mógł w ten sposób patrzeć na nich, jak i w charakterystyce osób poszczególnych (np. sympatyczny w powieści Janek, przedstawiony jest w librecie jako potwór jakiś i czarownik zarazem). Trudno również nie przyznać, że utwór p. Nossiga jest słaby w budowie w akcie pierwszym, w którym sceny się wloką, a akcja mało co posuwa się naprzód. Pomimo jednak tych usterek libretto w wyrazie uczuć bohaterów sztuki jest dość silne, nierzadko efektowne i sceniczne, a przytem plan jego jest dobrze obmyślany; jako takie, daje kompozytorowi dużo pola do popisu i to w różnych kierunkach i różnych rodzajach muzyki. Już samo przeciwstawienie dwóch żywiołów ludowych: góralskiego i cygańskiego, pozwala czerpać z bogatego skarbcza melodyi jednego i drugiego ludu, dalej zaś, liryzm strapionej duszy, tajona, a przy pierwszej sposobności wybuchająca namiętność cygańska, a po za tem krajobraz z polanką, lasem, jeziorem i skałami, wreszcie miłość, zemsta i tragiczne perypetye tych dwóch pierwiastków psychologicznych — oto momenty, w których twórczość może znaleźć siłę i potęgę wyśłowienia. Paderewski wady libretta potrafił pokryć siłą swego talentu, oraz wysokiego wykształcenia muzycznego, zalety zaś spożytkował w całej pełni i dał literaturze naszej muzycznej dzieło wspaniałe.

Partycję „Manru“ wyróżnia przedewszystkiem jasność, czystość i szlachetność muzyki. Myśli muzyczne układają się tu w linie i kształty zrozumiałe zarówno w polifonii, jak w melodyi, zarówno w prowadzeniu chórów, jak i głosów orkiestry, pełnej najświetniejszych barw i blasków. W całym dziele nie znajdziesz ladażakich efektów: kompozytor mimo wielką śmiałość pomysłów opiera się zawsze na czystych i artystycznych podstawach harmonii, zarówno tej w znaczeniu muzycznym, jak i owej szerszej — estetycznej. Nie gwałci jej, jak to czynią nowożytności weryści, o pospolitość nigdy nie zatraci, pozostaje czystym i szlachetnym nawet w chwilach najniebezpieczniejszych, których libretto, operujące przeważnie Cyganami, obficie dostarcza. Dalej, w dziele zwraca uwagę znakomita plastyka psychologii figur, do akcji wprowadzonych; kompozytor umiał odmalować nie tylko stan duszy osób działających, ale i sprężyny psychiczne działania. On nie [tylko daje wyraz grozy, miłości, namiętności i rozpacz, ale usiłuje nastrojowo usprawiedliwić te czynniki, kierujące losami świata, streszczonego w operze. Perły prawdziwego natchnienia, wlewającego się w melodye pięknych, płynnych i szczerych, hojnie rozsypane są po kartach partycyi. Dość wspomnieć o całym prawie akcie drugim, w wspaniałem intermezzo i scenie kuzenia Manru przez Azę w akcie trzecim, o chórach i tańcach w pierwszym. Wprawdzie jest parę chwil, w których natchnienie opuszcza kompozytora, ale i wtedy ma on na zawołanie zawsze logikę, smak artystyczny, wiedzę teoretyczną i uczucie, które to czynniki potrafią te chwile zapełnić i brak natchnienia zastąpić. Wreszcie pod względem opracowania technicznego dzieło Paderewskiego przedstawia prawie ideał doskonałości. Harmonie są przepyszne i zawsze dobrze brzmiące, praca kontrapunktyczna jest znakomita, instrumentacja zaś, wykonana po mistrzowsku w najdrobniejszych szczegółach, olśniewa bogactwem, zadziwia pełną i barwną dźwięcznością, obfituje w masę oryginalnych efektów, prawie że nieznaną dotychczas. Nadmiar staranności w obmyśleniu tych efektów niekiedy traci nawet przesadą (np. zbyteczne posługiwanie się dzwonekami i trąbkami z tłumikami), w każdym jednak razie ta okoliczność za grzech poczytaną być żadną miarą nie może.

Tak się przedstawia w głównych zarysach pierwsza opera Paderewskiego. Jako trzymana zupełnie w stylu nowoczesnym, jest ona wprawdzie silnie zabarwiona stylem i nastrojem muzyki Wagnera, lecz tylko zabarwiona — nie wię-

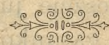
cej. Oryginalność jej twórcy przejawia się na każdym kroku, a talent jego potężny sprawia, że wywołuje wrażenie silne i trwałe, tem bardziej, jeśli jest wykonana tak doskonale, jak u nas. P. Bandrowski w roli bohatera tytułowego, jakby umyślnie dla rodzaju jego artystu stworzonej, zachwyca świetną deklamacją, znakomitą grą aktorską i wytworną subtelnością w cieniowaniu słownych ustępów. Ślicznie, jak zawsze, śpiewa, a nad podziw wybornie gra Ulanę p. Korolewiczówną. Trzecia z pierwszoplanowych ról — Uroka, znalazła również bardzo dobrego przedstawiciela w osobie p. Gorskiego, który już nie po raz pierwszy ujawnia prawdziwe uzdolnienie w kierunku charakterystycznym. Wykonawcy ról drugorzędnych, chóry i, najgłówniejszy czynnik wykonawczy, orkiestra pod wodzą p. Podestiego, sprawiają się dzielnie i doskonale przyczyniają się do poważnego powodzenia opery. Wystawienie „Manru“ pod względem dekoracyjnym i reżyserskim odznacza się nadzwyczajną starannością i pomysłowością p. Floryńskiego, który gorliwość swą posuwa nawet do tego stopnia, iż dla wzbudzenia większego ruchu i życia sam w przebraniu znajduje się na scenie i kieruje masami. Ten fakt, niepraktykowany dotychczas na scenie naszej, zasługuje na najwyższe uznanie. Zasługuje nań również i ruchliwość p. Floryńskiego, jako reżysera, który w ciągu dwóch miesięcy wystawił trzy nowe opery: „Dalibora“, „Livię Quintilę“ i „Manru“, wznowił „Martę“, przygotował po polsku „Violettę“ i „Fausta“. Już to takiego ruchu, jaki obecnie panuje w naszej operze, dawno nie było. Ciągłe debiuty, wprawdzie po większej części nieudane, nowych aspirantów do zawodu scenicznego, występy śpiewaków bardzo dobrych, jak dr. Drzewiecki, lub znakomitych, jak Bandrowski, tyle oper nowych lub wznowionych — wszystko to powinno zachęcić publiczność do częstszego bywania w teatrze, tem bardziej, że i ceny biletów zostały znacznie niższe. Kiedy ta publiczność zacznie nawiedzać ten przybytek sztuki — niewiadomo, a tym czasem pomimo wszystkich wysiłków przekonania jej, że czas zerwać z kultem wirtuozów, przekonać się nie daje i do teatru nie chodzą. Na występach znakomitej śpiewaczki, p. Boroniat, było pełno, bo wirtuozka, na innych pustki, że aż strach. Ciężką jest walka z zastarzałymi nałogami!

Koncerty Filharmonii w Dolinie odbywają się pod dyr. zakontraktowanego na cały sezon letni kapelmistrza nadwornego Opery cesarskiej w Wiedniu, Józefa Hellmesbergera. Kierownik to doświadczony, energiczny, obdarzony temperamentem, przytomny i sprężysty, przytem muzyk wykształcony i talentowany. Wprawdzie ograniczona dotychczas ilość czasu dla należytego wypróbowania repertuaru, oraz nieosobliwa rozbrzmienność sali, zmałej dla orkiestry Filharmonii, nie dają jeszcze sposobności znakomitemu kapelmistrzowi do wykazania uzdolnienia swego w całej pełni, wszelako już obecnie w niektórych utworach lepiej wypróbowanych, zarówno z dziedziny muzyki poważnej, jak i lżejszej, znakomite uchwycenie należytego stopnia szybkości, doskonałe wnikięcie w ducha i myśl kompozycji, opracowanie subtelne szczegółów i artystyzm w ich uwydatnieniu znamionują w Hellmesbergerze siłę pierwszorzędną. Jest nadzieja, że z takim kierownikiem Filharmonia w umuzykalnieniu szerszych warstw społeczeństwa naszego uczyni rzeczywiście ważny krok postępu.

Na zakończenie kilka słów o nowościach muzycznych. Ruchliwa firma Sennewalda wydała cztery nowe utwory na fortepian ze zbioru p. t. „Pièces de Salon et Danses.“ Podobnie jak wszystkie kompozycje, wchodzące w skład tego zbioru, tak i omawiane utwory: a) walc-impromptu Godarda p. t. „Mousse d'or“, b) galop Ellenberga „W sankach“, c) „Romans bez słów“ G. Wilsona i d) romans Hack'a pod tyt. „Rose d'Automne“ są umiejętnie wybrane, opalcowane dobrze, wydrukowane starannie i bez

błędów, a ponieważ są melodyjne i technicznie nie przedstawiają żadnych większych trudności, przeto powinny zwrócić uwagę osób średnio zaawansowanych w grze, a lubujących się w płynnych i pięknych melodyach. Nakładem tejże firmy wyszły № 60, 61, 62 i 63 z innego zbioru p. t. „Les Chrysanthèmes“, zawierającego w łatwym układzie transkrypcje na fortepian utworów mistrzów naszych i obcych z różnych epok; wydawnictwo to posiada dużą nawet wartość pedagogiczną, gdyż przy odpowiednich objaśnieniach uczącego, może zaznajamiać ucznia w samym zaraniu nauki jego z charakterystycznymi właściwościami różnych stylów. — „Echo Muzyczne“ wydało jedną z perełek natchnienia Griega — pieśń do śpiewu p. t. „Sierota.“ — W czwartym wreszcie zeszyście „Melomana“ spotykamy cały szereg utworów kompozytorów francuskich współczesnych: Dubois, Gilleta, Lacka, Masseneta i Wermsera. O zaletach tego wydawnictwa kilkakrotnie już pisałem, nie będę się przeto nad nimi rozwodził szerzej, nadmienię tylko, że „Meloman“ zarówno pod względem treści, jak i formy posiada wszystkie dane, aby znaleźć jak najszersze rozpowszechnienie.

St. Dziadulewicz.



Kronika działalności kobiecej.



— Przed tygodniem, w lokalu Stowarzyszenia Nauczycielek w Krakowie, urządziła p. Eljaszówna wystawę prac własnych i swoich uczennic. Bardzo stosowne było spożytkowanie miejsca, zwłaszcza, że nauczycielka przeznaczyła dochód z wystawy na cele instytucji, mianowicie na rzecz czytelnicy. W czytelnicy panuje ruch znaczny, każdy grosz zyskany idzie na zakupno nowych książek, których nigdy dość dla licznych czytelniczek dostarczyć nie można, pomimo, że dość często zdarzają się ofiarodawcy.

Pod hasłem „sztuki zastosowanej do przemysłu“ powstają tu szkoły, dość wspomnieć szkołę Tetmajera i Bukowskiego (kursa malarstwa dla kobiet), oraz szkołę imienia Józefa Rzewuskiej. Ale i prywatne nauczycielki urządzają u siebie oddzielne lekcje zbiorowe.

Sądząc z ilości prac, kurs p. Eljaszówny musi być bardzo liczny. Nietylko, że rozwieszono do 60 makat, ale podziwialiśmy ładne bardzo mebelki, stoliki, krzesła, biurka, fotele — malowane przeważnie w kwiaty; również było w trzech salach mnóstwo rozłożonych drobiazgów, szkatulek, wachlarzy, tek, nożyków drewnianych, półeczek, wykonanych poprawnie i ze smakiem. Wystawa była licznie zwiedzana.

Zwrócenie się do robót praktycznych, użytecznych, mogących dom ozdobić, a nawet przynosić pewien dochód, jest objawem niezmiernie pociesającym. Odkroczyliśmy znacznie od epoki paciorkowych, bezcelowych najczęściej robótek, nad którymi tyle oczu się napsuło.

Dziś garną się kobiety więcej do nauki szycia i kroju, do sztuk pięknych, a nawet do rzemiosł.

Filantropia też coraz rozumniej czuwa nad dostarczeniem pracy nieszczęśliwym. Tak oto powstała fabryka kapeluszy, która rozwija się pomyślnie. Tysiące kapeluszy słomianych krakowskiej roboty, rozchodzi się ztąd daleko. Małe dziewczynki pod dobrym dozorem uczą się pracować i zarabiać. Jest nadzieja, że z czasem fabryka rozwinie się na większą skalę, początki są nieśmiałe ze względu na brak funduszy. Skoro zaczną napływać większe obstalunki, znajdą się z pewnością i fundusze.

Ułatwienie pracy zarobkowej kobietom nie przestaje być sprawą palącą. W.

— W salonach Pałacu sztuk i rzemiosł w Berlinie, od października do listopada r. b. urządzoną zostanie wystawa „zreformowanych strojów niewieścich”. Przewodniczącym wystawie będzie artysta-malarz Paweł Schultze-Naumburg. Głównym zadaniem wystawionych ubrań będzie propagowanie zasady wyrażonej w dziele wyżej rzeczowanego artysty, traktującym o strojach damskich, a która brzmi: „Kultura ciała i uwzględnianie naturalnej budowy, powinny być podstawą formy każdego ubrania.” Wystawcy zgodzić się muszą na następujące warunki:

1) Wszelkie rodzaje gorsetu dawnego czy tak zwanego zreformowanego, zostaje odrzucony.

2) Suknia powinna być dźwigana tylko na ramionach.

3) Ubrania, składające się z bluzek i spódnic znanego pokroju, nie będą przyjmowane. Nowe zaś pomysły w tym kierunku, któreby zastąpić mogły dotychczasowe połączenie spódnicy z bluzką w stanie, będą bardzo dobrze widziane.

4) Gdyby staniczki, podtrzymujące piersi, uważane były za konieczne do utrzymania zręczności kroju ubrania, można zastosować tylko takie, któreby się na ramionach utrzymywały, nie zaś na klatce żeber, albo na biodrach.

Po rozpatrzeniu szczegółów tych wszystkich higienicznych względów, w połączeniu z technicznym wykończeniem najdrobniejszych szczegółów, jury przystąpi do oceny estetycznej strony ubrania.

W zakresie wystawy nie leżą jedynie ubrania strojne, lecz i praktyczne, najskromniejsze domowe i spacerowe. Celem wystawy jest wykazać, że higieniczne ubranie zastosować się da do wszystkich potrzeb. Przepisy dodają, że wszelka ekscentryczność i przesada są wykluczone.

Prospekty wystawy wysyła na żądanie zarząd tejże. Adres: „Reforma kobiecego ubrania” Berlin—W. Leipzigerstrasse, 13.

— Ruch umysłowy kobiet we Włoszech zaznacza się bardzo zadawalająco. W r. 1900 otrzymało patenty z ukończenia Uniwersytetu 250 kobiet, do gimnazjów uczęszczało 1,650 dziewcząt, do szkół realnych i fachowych

3,900. W ciągu ostatnich dwóch lat liczby te wzrosły znakomicie.

— Zjazd Stowarzyszeń kobiet skandynawskich naznaczony został w Chrystyanii, na dzień 3-go lipca r. b. Porządek obrad: Wychowanie kobiety, reformy socyalne, kobiety-lekarze, ich prace, place i stanowiska, pomnik dla Kamilli Collet, stanowisko kobiety w literaturze i sztuce.

Z. S.

KONKURS.

Redakcja „Dobrej gospodyni” ogłosiła konkurs z nagrodą 150 rubli na pomysł do gorsetu, najbardziej odpowiedniego pod względem higienicznym i ze ścisłym zastosowaniem do fizycznego ustroju kobiety. W skład sądu konkursowego wchodzi lekarze i fachowe rzeczoznawczynie.

Na półkach księgarskich.

— *Konopnicka Marya: Poezye w nowym układzie: „Fragmenty”, „Helenica.”* Warszawa, 1902. Nakład Gebethnera i Wolffa.

W pierwszym zbiorze niezrównanych poezyi swoich, objętych wspólnym tytułem „Fragmenty”, odsłania nam poetka całą głębię swojej duszy, swoją istotę wewnętrzną, swoje rozczarowania i zwątpienia, pragnienie zderzenia tajemniczej zasłony kryjącej prawdę, wieczne dążenie do światła, piękna i sprawiedliwości: w drugim tomiku „Helenica” wskrzesza życie pięknej, starożytnej Grecji w takich arcydziełach, jak: „Helios”, „Elektra”, „Cytara Tymona”, „W rocznicę Termopilów”, daje nam obraz Rzymu w cyklu „Sclavus saltans”, i rysuje przed oczyma wspaniałą postać Starego Testamentu, Mojżesza (cykl „Mojżesz”). Prócz tego zbioru zawiera jeszcze „Kartki z raptularza” i „Po drodze.”

— *Gruszecki Artur: W tysiąc lat, powieść na tle stosunków słowacko-węgierskich.* Warszawa, 1902. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Autor daje nam w swojej powieści obraz ży-

cia naszych pobratymców Słowaków, pod panowaniem Węgier. Tysiąc lat niewoli nie zdolało zabić w biednym, uciemionym ludzie ducha narodowego; świadomość odrębności plemiennej pobudza ich do energicznego choć milczącego oporu; walka tem zaciętsza, że tłumiona, wre tam nieustannie z usiłowaniami madyaryzacji rządu węgierskiego. Na takim tle przewija się nie romantycznej intrygi; miłość Słowaka Iwka do panny Irmy, córki podżupana, Węgry. Młody Iwko porywa swoim zapalem i oddaniem się sprawie narodowej Irme, otwiera jej oczy na niesprawiedliwość Węgrów względem Słowaków i zyskuje w niej możnego sprzymierzeńca, który go nie opuszcza do ostatka, Irma bowiem dzieli z Iwkiem bohaterską śmierć w ułazce z policją madyarską podczas wyborów posła.

— *Józef Śladek: „Urywki poetyczne,”* tłómaczył Konrad Zaleski. Warszawa, 1902.

W zbiorze niniejszym pomieścił poeta 87 urywków o nastroju po większej części lirycznym. Niema tu ani gwałtownej wesołości, ani zgrzytów ironii, ani krzyku rozpacz; ciche, równomierne uczucie smutku, głębokiego żalu i tęsknoty przenikają utwory czeskiego poety i mimowolnie ogarniają czytelnika. Umie jednak Śladek czasem wykrzesać z duszy iskrę szczerzego zapalu i dowcipu, umie zadzwonić w nutę odwagi i męskiego wytrwania.

Zbiorek cały jest poświęcony Zenonowi Przesmyckiemu (Miriamowi) przez tłumacza, który przyswoił naszej literaturze tę garstkę urywków z poezyi naszych pobratymców. A. J.

ODPOWIEDZI.

— *P. Ślaski we Lwowie.* — Zwyczajne kasztany.

Treść numeru:

W schronieniu św. Władysława, przez Zofię Hartinghova. — Przysłań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu „Sobieski pod Wiedniem”), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Zbytek, jego złe i dobre strony, przez Zofię Seidlerową. — Czy znasz tę chwilę (wiersz), przez E. G. — Maciej, przez Z. A. Z. — Pogadanki naukowe: I. Chleb, przez T. Harajewicza. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Konkurs. — Na półkach księgarskich, przez A. J. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz trzeci powieści R. Monlaur'a p. t. „Promień”, w przekładzie M. ...t.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 25). — O wyleganiu i karmieniu kurcząt, oraz Tablica krojów.

132 **Marszałkowska** 132
przy rogu Świętokrzyskiej

32 **Senatorska** 32
od placu Bankowego

F. Świejkowski

załatwia: Pogrzeby, Ekshumacje

Przewożenia zwłok z zagranicy, Cesarstwa i na odwrót.
Trumny metalowe od rbl. 30, dębowe i drewniane po cenach niskich.
Wience metalowe i Makarta w wielkim wyborze.
UWAGA: **Suknie** gotowe, na obstalunek wykonywa się w 24 godziny.

Kapelusze, Krepy, Woalki.

Pierwsza w kraju specyalna fabryka

WÓZKÓW

i WELOCYPEDÓW

Marszałkowska 53.

poleca: **wózki dziecinne** od rb. 6 — 60.
wózki trzykołowe dla dzieci mogących siedzieć od rb. 8 — 30.
welocypedy od rb. 5 — 15.
wózki fotele dla chorych, najnowszych fasonów od rb. 25 — 100.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem

Teodory RACZKOWSKIEJ

Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 i egzaminy dla nowowstępujących od d. 15 maja.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 maja.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA.

W TYSIĄC LAT.

Powieść na tle stosunków słowacko-węgierskich

ARTURA GRUSZECKIEGO

Cena rub. 1 kop. 50.

Tegoż autora poprzednio wydane:

Dla miliona. Powieść	1	20
Hutnik. Powieść współczesna.	—	80
Krety. Powieść współcz. Wyd. 2-gie	1	50
Nowy obywatel, z ilustr. K. Gorskiego („Bibl. Illustr.”)	1	—
		w oprawie 1 40
Tuzy. Powieść współcz. Wyd. 2-ie	1	40
Zwyciężeni. Powieść współczesna	1	50

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Marya Matuszewska

Przełożona Pensyi V-kl. żeńskiej

w Warszawie przy ulicy Leszno № 28 zawiadamia, iż egzaminy i zapisy uczennic na rok przyszły odbywają się od dnia 10 maja do 1 Lipca r. b.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stolarnia własna. — Ceny niskie.



„ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

2 WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

Dezynfekcja

i czyszczenie
pierzy, włosów
materacowych.

Ubrania po cho-
rych etc.

Marszałkowska 33.

Skład wyrobów gumowych,
Cea i Środków opatrunkowych i Nowości.

G. EHLERT

Warszawa, Senatorska № 19.
I-sze piętro.

Poleca: Wszelkie przyrządy chirurgiczne, Płótna gumowe pod cho-
rych, Termometry, Barometry, Ceraty i Serwety na stoły, Szco-
teczki do zębów, Grzebienie. Rakiety i piłki do Lawn-
Tennisu. Oddział Fonografów czysto oddających muzykę, śpiew
i deklamację.
OBSEUGA ŻEŃSKA DLA PAŃ.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Pianino — „CROWN” 15

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.



FUTRA

na letnie przechowanie

Przyjmuje i za-
biera własną ka-
retką bez dopłaty.

KUŚNIERZ JAN RUDZIŃSKI

Marszałkowska 117.

OBICIA

PAPIEROWE

oraz odnawianie lokali, TANI!

STEFAN LOBER

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

We wszystkich księgarniach sprzedają się
działa pedagogiczne Reussnera do bardzo
prędkiej i najłatwiejszej nauki Języków Ob-
cych bez nauczyciela z objaśnieniem wymo-
wy i kluczem, pod tyt.

SAMOUCZEK

Polsko-Francuski kurs I-szy
kop. 1.20—kurs II-gi kop. 3.20.

Gramatyka polsko-fran-
cuska kop. 1.20.

Polsko-Ruski kurs I-szy k. 1.40.
kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u autora, Warszawa, Złota № 6

KRYNICA

dom „POD WAWELEM“ na wzgórzu,
naprzeciw łaźniak borowinowych. Pokoje
umeblowane z pościelą, usługą i całodzi-
nem utrzymaniem.

Żeleszkiewicz i Kaczkowska.

S. A. Krzyżanowski

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT W KRAKOWIE,

poleca

Jakubowski L. M. Dr. Prof. Wskazówki
żywienia i pielęgnowania dzieci w pierwszym
roku życia. Wydanie 2-gie przejrane i uzu-
pełnione przez autora.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

PO ZDROWIE DO LASU dla miłujących spokój wiejski

W uroczej i zacisznej osadzie letniczej ZENONÓW z kąpielą rzeczną
Działki lasu sosnowego do sprzedania w Zenonowie, odległym o 3 wiorsty od
stacji kolei Petersburskiej Wołomin. Oprócz działek lasu są działki ziemi pod lasem
i działki łąki z rzeczką Czarną Strugą.

WARTOŚĆ DRZEWA odpowiada cenie szacunkowej działki lasu.

1) LAS z drzewem wyniosłym, grunt suchy i piaszczysty, powietrze czyste, gdyż
w bliskości niema fabryk, miejscowość więc posiada najkorzystniejsze warunki klimatyczne
i nadaje się w zupełności do budowy willi letniczych, których już wiele pobudowano
i w dalszym ciągu się budują. Łazienka kąpielowa na miejscu.

2) Działki ziemi tuż pod lasem z łąką i rzeczką, zdadne na urządzenie ogrodów
owocowych i budowę domków i działki łąki z rzeczką Czarną Strugą.

3) Dom w lesie do sprzedania tanio, składający się z dwóch lokali po 2 pokoje
z kuchnią i werandą każdy i jednego lokalu w szczytce pokój z kuchnią.

Przez cały rok funkcjonuje SKŁEP z wszelkimi produktami spożywczymi.
Dostawa mięsa z Warszawy codziennie i sprzedaż lodu.

Zenonów jako osada letnicza pod względem dobrego powietrza i pięknego położenia
oraz łatwej dostawy produktów, może stanąć do konkurencji z najpiękniejszymi miejscowo-
ściami letniczymi. Rozkład jazdy kolei Petersb. dogodny dla wszystkich klas pracujących.

Blizsza wiadomość i oferty ulica Ogrodowa № 5 m. 36.

EGZYSTUJĄCA OD 1882 ROKU

PRACOWNIA I MAGAZYN

Wyrobów Złotych, Srebrnych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy Trębackiej № 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki,
koleżki, bransolety, breloki, krzyżki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro
stołowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile
i wogóle na wszelkie obśtalunki w zakres jubilerstwa wchodzące.

Znaczny wybór rączek srebrnych do lasek.

CENY FABRYCZNE.



Crème CAZIMI METAMORPHOSA

przeciwko PIEGOM.

Jedyny dowód auten-
tyczności podpis

Bez tego podpisu fałszykat.
Sprzedaje się we wszystkich aptekach,
składach aptecznych i perfumeriach.

w Domu Handlowym J. B. SEGALL
w Wilnie i Odessie.

Wobec ukazania się fałszykatów
„Metamorphosa“ wynalazca CAZIMI
złożył nowy rysunek na etykietach
(ZRÓDŁO PIĘKNOŚCI)
(METAMORPHOSA)

Zatw. przez Dep. Handlu i Przemysłu
za Nr. 4683, który będzie wydrukowany
w ilustracjach i na etykietach.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzma-
cniające i pomagające trawieniu,
najlepszy przyjaciel żołądka.

Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako
o pożywnym, wzmacnia-
jącym środku, wysła się
na żądanie.



Smak jego jest wyśmienity.

Compagnie du Vin
Saint Raphaël

VALENCE, DROME,
FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej
odporności przeciw wszelkim atmo-
sferycznym i innym zewnętrznym
wpływom.

BOROXYL

chłodzi, odświeża twarz, nadając ce-
rze delikatną, matową białosć.

Cena flakonu 60 k.

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

F. ZAMENHOF

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.